



**TINA WAINSCOTT**



**KONIEC Z TRADYCJĄ**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Chyba nie chcesz złamać mamie serca i zostać czarną owcą w rodzime.

Usłyszawszy to, Marisa Cerini spiorunowała wzrokiem swoją siostrę Ginę, siekającą czosnek przy kuchennym stole.

- Nie wtrącaj się, dobrze?

- Chciałam tylko pomóc. - Gina wzruszyła ramionami. Mama przytuliła Marisę tak mocno, że córka z trudem zdołała odwzajemnić uścisk.

- Mam przecucie, że w tym roku na pewno go poznasz. Już od pięciu lat, zawsze o tej samej porze roku, biedna pani

Cerini powtarzała swej córce to zdanie-zaklęcie, lecz Marisa zawodziła i ją, i resztę rodziny. Jednak czyż mogło być inaczej? Dziewczyna dorastała w konserwatywnej i bardzo przywiązanej do tradycji włoskiej rodzinie, lecz, na przekór przypisanej kobietom roli, tęskniła za zrobieniem zawodowej kariery, a ponadto, choć mieszkała w najbardziej romantycznym miasteczku Ameryki, duszę miała wcale nie romantyczną.

- Będziemy z ciebie dumni - oznajmiła mama wzruszonym głosem. - Chyba się zaraz rozplacę.

Marisa oparła się o drewniany blat, na którym widać było ślady kuchennych wysiłków trzech pokoleń.

- Mamo, przestań, bo wszystkie się rozryczymy.

- Masz pretensję, że płacę w tak doniosłej chwili? - zapytała mama dobrze znanym dramatycznym tonem, przyciskając dłoń do piersi.

- Mamo, oczy zachodzą ci łzami nawet wtedy, gdy Nonna wyjmuje lasagne z piekarnika.

- Lasagne Nonny to czysta poezja. - Gina okręcała na palcu kosmyk długich, czarnych włosów. - Pamiętasz, jak Nonna się zdrzemnęła, lasagne się spaliła i wszyscy płakaliśmy?

- Nawet papa - przyznała mama.

- Łatwy płacz to nasza rodzinna cecha. Nie ma się czego wstydić. - Mama odgarnęła kosmyk gęstych, szpakowatych włosów i zajęła się obrębianiem sukienki Marisy.

Nonna, jej ukochana babcia, była żwawą staruszką z długimi, siwymi włosami, które wiązała z tyłu głowy. Pod ich ciężarem przechylała się jak krywa wieża w Pizie.

- Nareszcie i ty, jak wszystkie kobiety z naszej rodziny, podczas

festiwalu poznasz swojego męża. Wino, księżyc w pełni i amore. - Splotła ręce. - Tak cudownie, tak słodko.

No cóż, tradycja!

Zaczęło się przed bardzo wielu laty, we włoskiej miejscowości Cortina, kiedy to podczas Festiwalu Wina i Miłości któraś z praprabek mamy spotkała swoją jedyną i dozgonną miłość. Od tej pory każda kobieta z rodziny po skończeniu dwudziestu lat poznawała swego ukochanego na tym samym festiwalu. Nawet gdy rodzina przeniosła się do Południowej Kalifornii i zamieszkała w założonym przez emigrantów z włoskiej Cortiny miasteczku Cortina, obyczaj ten trwał w najlepsze, stanowił bowiem część życia rodziny Cerinich, jak Boże Narodzenie dla innych. Kiedy więc Marisa skończyła dwadzieścia lat, pozwoliła się ceremonialnie wystroić i wyruszyła na spotkanie z tradycją. Ale się z nią rozminęła.

Może nie rozglądała się zbyt uważnie? No cóż, wprawdzie nie śmiała się do tego przyznać, ale miała na głowie ważniejsze rzeczy niż romanse. W tajemnicy przed rodziną uczęszczała do miejscowego college'u, by zdobyć dyplom specjalisty zarządzania przedsiębiorstwem.

Za trzecim razem naprawdę się starała i bacznie zerknęła na wszystkie strony, ale i to okazało się za mało, bo znów wróciła z niczym. Za piątym razem była już naprawdę zdesperowana, lecz i to nie pomogło. Natomiast Gina, ów rodzinny wzór doskonałości, spotkała ukochanego od razu na swoim debiutanckim festiwalu, a teraz, jak Bóg i tradycja nakazywały, oczywiście była w ciąży. W kuchni stało już dziecięce krzeselko, a w salonie czekał kosz pełen zabawek.

Zarówno amerykańska, jak i włoska rodzina Cerinich co kwartał wydawały rodzinne gazetki i wzajemnie się nimi obdarowywały. W tej chwili na kuchennym stole leżała włoska mutacja tego zacnego periodyku, otwarta na stronie ze ślubami, narodzinami... i zaręczynami kobiet, które poznały swoich ukochanych na ostatnim tamtejszym festiwalu.

Gwoli ścisłości warto zaznaczyć, że w amerykańskiej wersji, w dziale „Dobre wieści”, Marisa pojawiła się tylko raz, a mianowicie, gdy się narodziła.

Norma poprawiła koronkowy kołnierzyk wnuczki.

- Salvatore i ja ciągle powtarzamy, że tradycja ginie. Młodzi nie chodzą do kościoła i psują włoską krew, zawierając małżeństwa z obcymi. Pamiętajcie, ile wstydu najedli się Pontini, gdy ich córka poślubiła

Irlandczyka!

O rany, zaczyna się! pomyślała Marisa, natomiast Gina odezwała się z dumną miną:

- Aleja się dobrze spisałam, prawda, Nonno? Mam za męża porządnego Włocha i niedługo urodzę dziecko.

Nonna przycisnęła spracowane palce najpierw do ust, a potem do brzucha Giny.

- Salvatore i ja jesteśmy z ciebie tacy dumni, tacy dumni.

Marisa słuchała ze ściśniętym gardłem. Teraz, kiedy skończyła studia, gotowa była pogodzić się z rolą tradycyjnej Włoszki i postarać się o męża. Może nie była najromantyczniejszą kobietą świata, ale postanowiła trochę powalczyć. Przy okazji chciałyby także zrobić karierę w zawodzie, ale tak, aby najbliżsi tego nie zauważyli.

Kiedy kuzyn Giorgio, szef działu sprzedaży w rodzinnej firmie ciastkarskiej, postanowił odejść na emeryturę, Marisa postanowiła wykorzystać okazję. Poprosiła ojca o rozważenie jej kandydatury na to stanowisko, udając, że nie zależy jej na tym zbytnio. Jeśli jednak rodzina uważa, że praca w roli sekretarki ojca satysfakcjonuje Marisę, to srodze się zawiedzie. Papa poklepał ją po policzku i oznajmił, że się zastanowi.

Akurat!

Nonna pocałowała wnuczkę w nosek.

- Z ciebie też jeszcze będziemy dumni. Tylko uważaj, żeby nie był za duży. - Pokiwała sękatym palcem. - Za duży, to źle.

- Co takiego? - Marisa szeroko otworzyła usta.

Nonna zajęła się już swoim ogromnym koszykiem do robótek.

- Nie rozumiała tego w tym sensie... - wtrąciła mama. Rany, jeszcze tego brakowało! Omawianie męskiej anatomii z własną babcią było tak dziwne jak... jak to, że Nonna regularnie rozmawia ze swoim mężem, który zmarł przed pięciu laty. Marisa uniosła sięgające ramion ciemne włosy.

- Związać, czy tak je zostawić? Wszystkie trzy odpowiedziały jednocześnie.

- Zwiąż.

- Zostaw.

- Zwiąż.

Przyjrzała się swemu odbiciu w wielkim lustrze, zacisnęła wargi i opuściła włosy.

- Zostawię je. - Przechyliła głowę. - Chyba.  
- A to co? - Mama przyjrzała się jej twarzy. - Wyskubujesz brwi?  
Kobiety z naszej rodziny tego nie robią.

Ale wszystkie inne tak! miała ochotę krzyknąć Marisa.  
- Tylko kilka niepotrzebnych włosków.  
- Twoje brwi są piękne, możesz je tylko zepsuć. Liczy się naturalna uroda, jak u Nonny. - Większość kobiet w miasteczku, nawet sporo młodszych, zazdrościło babci cery.

Marisa westchnęła i poprawiła koronkową sukienkę. Gdyby tylko mogła nałożyć coś mniej falbaniastego... Niestety, falbanki były romantyczne, a ona powinna wyglądać jak motyl. Dlaczego jednak tradycyjna sukienka musi być zawsze biała? Jej biodra nie mogą już chyba wydawać się szersze...

- A jeśli w tym roku też go nie spotkam? Nonna uniosła rękę, zaciskając palce.

- To destino! Moja wnuczka nie zawiedzie rodziny.  
- Ja nie zawiodłam - wtrąciła Gina.  
- Wiem - mruknęła Marisa.  
- A to wcale nie było łatwe. Czulałam na ramionach ciężar tradycji, zwłaszcza że tobie się nie powiodło.

- Wiem.  
- Poradzisz sobie. Wystarczy, żeby był Włochem, mężczyzną nieżonatym i heteroseksualnym. - Nonna machnęła lekceważąco ręką na wątpliwości Marisy. - Na festiwal z całego kraju przyjeżdża trzy tysiące ludzi, więc on musi być gdzieś wśród nich.

- Tylko nie zrób tego, co zwykle, gdy się zdenerwujesz - ostrzegła Gina.  
- Czego?  
- Oj, nie powinnam była tego mówić.  
- Ale już zaczęłaś, więc nie możesz się wycofać.  
- Dobra, otwierasz buzię i przestajesz się odzywać.

O tym, że często milknie, Marisa dobrze wiedziała, a działo się tak, gdy zbyt wiele rzeczy przychodziło jej naraz do głowy.

- Wcale nie otwieram buzi! - Wszystkie trzy pokiwały głowami. - Otwieram? Dlaczego nie powiedziałyście mi tego wcześniej?

- W zeszłym tygodniu rozmawiałaś z Ninem w pralni. Powiedział, że ładnie wyglądasz, a ty zrobiłaś tę swoją minę.

- Oczywiście Gina musiała wszystko dokładnie zademonstrować.

Marisa spojrzała w okno. Zachmurzyło się tak bardzo, że w ogóle nie było widać gór.

- A jeśli zacnie padać? A jeżeli linie lotnicze zgubiły bagaż mojego przyszedłego albo lot został odwołany? A jeśli...

- Przestań krakać - przerwała mama. - Jeszcze się nie zdarzyło, by w takiej chwili któraś z kobiet z naszej rodziny zamartwiała się odwołanym lotem lub zgubionym bagażem.

- Bo dawniej nie było samolotów.

- Nieważne!

Marisa znowu spojrzała w lustro.

- Może jednak powinnam włosy związać.

- Związać, zostawić, związać, zostawić... Takim niezdecydowaniem doprowadzisz do szału nawet najbardziej flegmatycznego męża. - Mama skropiła ją wodą różaną. - Idź, znajdź swojego amore, moja ty zamartwiająca się córko.

Marisa wyszła do holu, gdzie ojciec właśnie szykował się do wyjścia. Zawsze podczas festiwalu nakładał paskudne jaskrawe ubrania, które na szczęście przez resztę roku ukryte były w szafie. Włosy miał ulizane dzięki żelowi, lecz nad uszami sterczały dwa zapomniane kosmyki.

- Ciao, papciu. - Marisa spojrzała zezem na fioletową koszulę i złociste spodnie.

- Bellal - oznajmił, okręcając ją.

- Papo, myślałeś już, czy mogę zająć miejsce Giorgia?

- Przecież ty wcale nie chcesz tego stanowiska, prawda? Można się wykończyć - dużo roboty, same stresy.

Zamiast zawołać: „Tak! Chcę!”, Marisa powiedziała obojętnie:

- Poradzę sobie.

- To nie dla dziewczyny. Złamiesz mamie serce, gdy staniesz się taką pracoholiczką jak córka pani Perrini.

- To mi nie grozi - odpowiedziała ostrożnie. - Chcę tylko robić coś poważniejszego. To wszystko.

Przyglądał się jej przez chwilę.

- No dobrze, dam ci tę pracę...

- Naprawdę? - Czekala na „jeśli”.

- Jeśli znajdziesz dzisiaj swojego amore. - Pocałował ją w oba policzki.

Idąc korytarzem, usłyszała, jak jej brat, Carlo, pokątnie trudniący się przyjmowaniem zakładów, rozmawia z jakimś klientem. A gdy zrozumiała, co tym razem rozpała dusze hazardzistów - zamarła.

- Dziesięć do jednego, że znów go nie znajdzie. Wchodzisz? Marisa z furią wpadła do pokoju brata i zatrzymała się przed

tablicą zakładów, gdzie wypisane były notowania najbliższej kolejki ligi baseballu, oraz: „Gina - Chłopiec/Dziewczynka”. A na ostatniej kolumnie widniał napis: „Marisa - Mąż/Nie-mąż”.

- Dobra, mam. A jak z sobotnią walką? - Carlo zapisał coś na kartce i odwrócił się do siostry.

Wytarła liczby ze swojej kolumny i wymaszerowała do przedpokoju.

- Wiedziałaś, że Carlo przyjmuje zakłady, czy znajdę swojego amore!

- Robi to od dwóch lat - machnęła ręką Gina.

- O ciebie też się zakładał?

- Nie, wiedział, że postąpię zgodnie z tradycją, boja zawsze robię tak, jak wypada. Prawda, mam?

Wreszcie mama i Nonna wycalowały serdecznie Marisę i wypchnęły ją za drzwi. Kroczyła ostrożnie, by nie upaść, z trudem bowiem utrzymywała równowagę na tych piekielnych obcasach. Niestety, Gina wszystkim wmówiła, że dzięki temu przyszła oblubienica będzie wyglądać na bardziej wysmukłą. Akurat!

- Uważaj na ceglach koło fontanny! - ryknęła Gina. - Wprawdzie ja się tam nie potykałam, ale...

- Ale co będzie, jeśli... - zaczęła Marisa.

Mama zamknęła drzwi i Marisa zrozumiała, że od tej chwili może liczyć tylko na siebie. Odetchnęła głęboko - i wyruszyła na poszukiwanie prawdziwej miłości.

Barrie MacKenzie stał na przystrojonym rynku miasteczka Cortina w stanie Kalifornia. Otaczał go tłum rozbawionych ludzi, w dniu dzisiejszym kapłanów wina i miłości.

Co za pech!

Najpierw spóźnił się samolot, później zgubiono jego bagaż, a teraz w miasteczku nazwanym przez „US Today” „najromantyczniejszym miastem Ameryki” zanosilo się na potężną ulewę.

Rynek był okrągły, a otaczające go budynki wyglądały jak kawałki układanki. Cała zabudowa miała renesansowy wdzięk, a swoistego kolorytu

dodawały ustawione z okazji Festiwalu Wina i Miłości małe budki gastronomiczne. Dużym wzięciem cieszył się kwartet fryzjerski, zonglerzy i akordeonista z małpką.

Barrie wcale nie zamierzał tu przyjeżdżać. Ten temat miał zrobić Porter, podwładny MacKenziego w piśmie kulinarno-podróżniczym. Niestety, Porter okazał się kompletnie nieodpowiedzialnym facetem, bowiem zakochał się.

- Barrie, musisz wziąć za mnie ten festiwal. Wiem, że to świństwo, ale gdybyś był na moim miejscu... Spotkałem najwspanialszą kobietę świata i nie mszę się z Paryża, póki jej nie przekonam, że jestem dla niej przeznaczony. - Zachichotał. - Chciałbym coś więcej ci o niej opowiedzieć, ale niedawno ją poznałem... jest piękna, ma oczy jak...

- Porter, do cholery, kiedy przyjmuje się zlecenie...

- Wiem, wiem... ale taką kobietę można spotkać tylko raz w życiu! Sam to kiedyś zrozumiesz, lecz teraz uwierz mi na słowo: muszę tu zostać!

- Byłeś dobrym kumplem, a teraz ześwirowałeś. Szkoda. Jeśli ja kiedyś tak zdumieję z powodu jakiejś baby, zastrzel mnie bez ostrzeżenia. Masz na to moje przyzwolenie. A teraz przynajmniej weź sobie zimny prysznic...

- Więc mnie nie wylewasz z roboty?

- Nie, ale radzę ci, trochę ochłoń. Żadna spódniczka nie jest warta, by...

- Dzięki, Banie. Wiesz, ona ma siostrę. Też prawdziwe чудо...

- Daj spokój, wystarczy, że moje siostry i kuzynki wciąż mnie swatają. Jeśli już nie możesz inaczej, bierz dziewczynę pod pachę i przylatuj jak najprędzej. Do cholery, tu się pracuje!

Szlag by to wszystko trafił! Najpierw zakochał się szef, to znaczy Stan, i teraz oczekiwał pierwszego dziecka. W efekcie strasznie zgłupiał i z natchnioną miną rozwodził się nad zaletami małżeńskiego życia, nudną rutynę i utratę wolności nazywając słowami „stabilizacja” i „bliskość”. A teraz Porter, najlepszy fotoreporter Barriego, poszedł w jego ślady.

No cóż, Barrie wiedział swoje. Miłość to żaden słodki amorek, tylko wysysający krew wampir, zamieniający silnych mężczyzn w bezwolne i rozmamłane kukły. „Stabilizacja” i „bliskość”... A niech to!

- Salutel - Młody Włoch uniósł papierowy kubeczek, nie dbając o to, że Barrie nie ma czym spełnić toastu.

Odrzucił się, słysząc okrzyki. Na balkonie z kutego żelaza stała kobieta i rzucała w tłum naszyjniki z kwiatów. Podniósł aparat, zrobił parę zdjęć i



zanotował w pamięci, żeby dowiedzieć się czegoś o tym zwyczaju.

Nastawił obiektyw, by zrobić zdjęcie, które miałyby „duszę”. Zbliżenie na dekolt kobiety. Nie, to nie to. Potem dostrzegł urodziwą dziewczynę, usiłującą złapać jeden z naszyjników. Nie była w jego typie, wołał bowiem smukłe blondynki, lubiące intensywne życie i nie myślące o małżeństwie i dzieciach. Ale dlaczego ostatnio tak go nudziły? Pewnie też nie miały duszy.

Zrobił kilka zdjęć dziewczynie w koronkowej białej sukience, ze zbliżeniem na triumfalny uśmiech, gdy w końcu złapała naszyjnik z białych kwiatów, który natychmiast nałożyła na szyję. Lecz jej uśmiech zgasł, gdy tylko wydostała się z tłumu. Miała niezwykle brązowe oczy, ciepłe i aksamitne, lekko skośne. Barrie pomyślał, że przyjemnie byłoby każdego ranka spoglądać w takie oczy... gdyby, oczywiście, planował stały związek. Lecz on hojną ręką takie rozkosze zostawiał innym facetom.

Rąbek białej sukienki muskał jej delikatne kostki. Poruszała się niezbyt pewnie na wysokich obcasach. Omijając kałuże, ruszyła w stronę fontanny ozdobionej repliką rzeźby Michała Anioła przedstawiającej Dawida. Spod stóp żydowskiego króla wypływała woda.

Zniknął stres, od tygodnia gnębiący Barriego, kiedy to szef zarzucił mu, że jego zdjęciom „brak duszy”. Zła kompozycja, niedobre światło, takie zarzuty są konstruktywne. Owszem, bo dzięki nim doskonalimy swój fach. Ale „brak duszy”? MacKenzie ciężko pracował, by stać się najlepszym w swoim zawodzie, niestety za nic nie mógł odkryć, czym jest owa „dusza”.

A teraz skupił się na dziewczynie, która uważnie przeszukiwała wzrokiem rynek. Spójrz na mnie, maleńka! wykrzyknął w duchu.

- Ty też zdumiałeś, MacKenzie? - mruknął, myśląc o swoich dwóch przyjaciółach, którzy stracili rozum. Natychmiast skupił się na konkursie deptania winogron, a potem przyjrzał się kolejce stojącej po wino.

Tradycja... nienawidził wszelkich tradycji. Od wielu pokoleń każdy MacKenzie pracował w rodzinnej destylarni whisky, znajdującej się w zapadłej szkockiej wiosce. Barrie pierwszy wyłamał się - i uciekł za ocean.

Fotografując ojca namawiającego nastoletnią córkę do włączenia się w improwizowany taniec, pomyślał, jak rodzice usiłowali go zatrzymać, wzbudzając w nim poczucie winy. Mimo że matka uciekła się nawet do łez, zrealizował jednak swój plan, ponieważ wiedział, że prawdziwym szczęściem jest wolność.

Co więcej, z tej właśnie przyczyny nigdy nie zamierzał się żenić.

Tańcząca grupa sunęła przez rynek, wciągając do zabawy coraz więcej ludzi. Barrie miał wszystko obserwować z boku, wtapiać się w tłum, o ile to oczywiście możliwe, gdy ktoś ma sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Zerknął jeszcze raz na ślicznotkę. Właśnie w tej chwili z rozbawieniem przyglądała się Dawidowi, któremu ktoś kolorową wstążką zasłonił wstydliwą nagość.

Niezajoma była kobietą bujnie obdarowaną przez naturę, lecz zarazem w wyrazie jej twarzy jaśniał dziewczęcy entuzjazm i figlarność. Znakomite zdjęcie do artykułu! Pstryknął kilka razy, zastanawiając się, czy łomotanie w piersi oznacza, iż w końcu zbliża się do osławionej „duszy”.

A teraz trzeba uciekać, zanim...

Nie zdążył. Jakaś potężnie zbudowana kobieta złapała go za ramię i wepchnęła w tłum tancerzy. Zanim zdążył czmychnąć, wpadł w ramiona następnej niewiasty, no i się zaczęło. Tłum kręcił się w kółko jak armia zwariowanych mrówek, aż Barriemu zawirowało w głowie. Zdesperowany, rzucił się przez ciżbę i wypadł poza zakłętą taneczny krąg.

Prosto na kogoś. Z tym „kimś” stworzyli jedno ciało i runęli w błotnistą kałużę.

Niestety, jego towarzysz w nieszczęściu okazał się kobietą, o czym dowodnie świadczyło popiskiwanie, zapach róż i charakterystyczna dla tej płci miękkość ciała. O cholera!

Barrie otworzył lewe oko i ujrzał długą nogę, wyłaniającą się spod niegdyś białej spódnicy.

- Do diabła! - jęknął.

Była to dziewczyna z jego fotografii. Może i miała duszę, ale teraz wyglądała dość żałośnie. Umazana błotem, w zniszczonej kreacji, wściekła i bliska płaczu... a mimo to piękna w swej bujnej kobiecości.

- Nic pani nie jest?

Odepchnęła jego pomocną dłoń, a w oczach miała złe błyski, lecz z jej otwartych ust nie wydobywały się, dzięki Bogu, żadne słowa. Dziewczyna spojrzała na swą zniszczoną sukienkę.

- O, nie! - wykrztusiła w końcu.

Ukląkł przy niej, instynktownie sprawdzając aparat. Był suchy, w przeciwieństwie do biednej dziewczyny. Znowu doleciał go zapach jej

różanych perfum. Nie przepadał za nim, ale teraz... Odpędził tę myśl.

- Nic się pani nie stało? Bardzo mi przykro. - Ruchem głowy wskazał kłębiące się tłumy. - To taki szalony taniec, podczas którego...

- Przykro? Panu jest przykro?! - W jej oczach zalśniły iskry.

- Czy pan wie, co pan zrobił?!

- Wepchnąłem panią w kałużę. Nie chciałem tego, lecz ten taniec...

- Zniszczył mi pan sukienkę! Tę sukienkę, w której mam...

- Urwała, przyglądając mu się uważnie, aż na jej twarzy pojawił się najpierw wyraz głębokiego rozczarowania, a potem paniki, co Barriemu oczywiście bardzo się nie spodobało. - I w dodatku nie jest pan odpowiedni!

- Tylko odpowiednim ludziom wolno na panią wpadać?

- Nie! Tak! Nieważne! Muszę iść do domu przebrać się! Nie mógł tego po prostu tak zostawić.

- Proszę posłuchać, zapłacę za czyszczenie, za wszystko!

- Nie mam czasu! - Podniosła się, odpychając jego wyciągniętą rękę, a zaraz potem jęknęła i osunęła na Barriego. Poczuciwszy jego ciało, odskoczyła, jakby był skorpionem, i z krzykiem klapnęła na pupę.

- To mi się nie mogło przytrafić - mruzczała w kompletnej desperacji.

- To akurat przytrafiło się mnie - stwierdził filozoficznie Barrie. Ta zwariowana panienska zaczynała działać na jego zmysły i nie był w stanie nad tym zapanować.

Co ona oczywiście zauważyła, a jej policzki natychmiast przybrały kolor wiśni. Dziewczyna nerwowo obciągnęła spódnicę.

Znowu przy niej ukląkł i przesunął palcami po jej puchnącej kostce.

Wpatrywała się w jego dłoń, delikatnie głaszczącą wilgotną skórę. Zreflektował się i cofnął rękę, a dziewczyna z rozpaczą zacisnęła usta.

- Chyba nie złamałam nogi! Akurat dzisiaj! - Próbowała zrobić krok, ale skrzywiła się z bólu. - Zmarnowałam swoje życie! Teraz nie mam szans, by go odnaleźć!

- Kimkolwiek on jest, na pewno wszystko zrozumie i pani wybaczy - powiedział Barrie. I poczuł, że sam chciałby być tym szczęściarzem. Czyżby? Zrozumiał, że właśnie w ten sposób atakuje straszliwy wampir miłości. Pokręcił głową. Trzeba stąd wiać, gdzie pieprz rośnie! pomyślał w panice.

- On niczego nie zrozumie!

- No to nie jest pani wart.

- Pan też niczego nie rozumie! To mężczyzna, za którego mam wyjść!

Biała sukienka to był strój panny młodej! Ślub miał się odbyć przy fontannie! A on to wszystko zniszczył... Coś ty najlepszego zrobił, MacKenzie?! pomyślał w rozpaczy.

- O sukienkę będziemy się martwić później. Najważniejsze, że kostka nie wygląda na złamaną. Zabiorę panią do szpitala, tam się panią zajmą i wkrótce wszystko będzie w porządku. - Robił, co mógł, by dziewczyna nie wybuchnęła znów wściekłością, albo, co gorsza, zalała się łzami.

W panice podciągnęła spódnicę, by obejrzeć kontuzjowaną kostkę, ukazując przy tym swe wspaniałe nogi. Dziwny błysk w oczach Barriego spowodował, iż natychmiast opuściła spódnicę.

- Zamierza mi pan pomóc, czy tylko się gapić? - Zakryła usta. - Przepraszam. Ja tylko...

Rzeczywiście, gapił się na tę śliczną bidulkę jak niewyżyty nastolatek. MacKenzie, zachowujesz się jak kretyń! udzielił sobie reprimendy. Szybko podniósł dziewczynę i przerzucił ją sobie przez ramię, jakby była workiem kartofli.

Przebijając się przez tańczący tłum, słyszał jej pełne oburzenia okrzyki, natomiast ludzie śmiali się i krzyczeli: „Och, amore”, „Ale im się spieszy!”, i tym podobne idiotyzmy.

- Boże, dlaczego spotkało to właśnie mnie! - zawodziła, waląc go w plecy. - Puszczaj mnie, ty brutalu! - Kiedy jednak udał, że zamierza spełnić jej życzenie, zaprotestowała: - Nie! Nie!

Tuż przy twarzy miał jej cudownie krągłą, ubłoconą pupę.

- Zdecyduj się wreszcie!

- Mam się zdecydować? Nie rozumiesz, prostaku?! - Może mógłbyś mnie nieść, jakbym była... kobietą, a nie...

- Workiem kartofli?

- Właśnie, workiem kartofli! Pokręcił głową.

- Wtedy wyglądałbym na bohatera romansu, czyli na przygłupa. Osobiście wolę metodę worka. - Zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku kawiarni.

- Zanieś mnie do telefonu. Zadzwoń do domu i poproszę, żeby ktoś zawiózł mnie do szpitala.

- Będzie szybciej, jeśli sam cię zawiozę.

- Nie! Nie ufam ci za grosz.

- Dlaczego?  
 - Bo jesteś brutalnym troglodytą.  
 - Uważaj, bo zaraz stanę się naprawdę brutalny i upuszczę cię w tę kałużę.

- No dobrze, nie jesteś brutalem.

Nie wiedzieć czemu, doskonale się bawił z tą zwariowaną dziewczyną.

- A co z troglodytą?

Zawahała się, więc znów zawrócił w stronę kałuży.

- No dobrze, dobrze, nie jesteś troglodytą!

- Ktoś ci mówił, że potrafisz mężczyźnę podnieść na duchu?

- Nie.

Dookoła rozbrzmiewała muzyka, której towarzyszyły zapachy czosnku i sosu pomidorowego. Pełne piersi dziewczyny miękko ocierały się o jego plecy. Chwilo, trwaj! coś zaśpiewało w jego duszy.

Do diabła, stary, uważaj! pomyślał w panice. Bo właśnie dźwigasz na plecach dorodny, krągły okaz wampira miłości. MacKenzie, pomóż tej dziewczynie - i zwiewaj jak najdalej od niej! To baba pyskata, egzaltowana i zadziorna, zero pokory - czyli same kłopoty. A przy tym dorodna i krągła. Ciepła i rozkoszna. ..

Zaraz, zaraz! Przecież nie lubił bujnych kobiet! Czyżby oszołomiły go unoszące się wokół opary wina? Byłoby lepiej, gdyby ktoś z rodziny zabrał dziewczynę do szpitala. Przeprosi ją, zapłaci za zniszczoną sukienkę - i pożegna rozkoszne krągłości.

Kiedy po raz drugi odłożyła słuchawkę, oparła czoło o telefon i jęknęła żałośnie:

- Nikogo nie ma. - Stała na jednej nodze, obolała i zrozpaczona.

Instynktownie stał błoto z jej policzka, lecz gdy dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona, opuścił rękę. Co się z nim dzieje? Przecież zawsze unikał takich... czułych... odruchów. A ona otworzyła nieco buzię, lecz nie z oburzenia, ale jakby jego dotyk... coś dla niej znaczył.

Miała śliczny nos, ani zbyt delikatny, ani za duży - idealny do oliwkowej cery, pełnych ust i pieprzyka na brzeżku górnej wargi.

- A co z tym facetem, za którego miałaś wyjść? - Odchrząknął. Dlaczego jego głos brzmiał nieswojo? - Nie możesz go odszukać?

- Nie. - W jej głosie usłyszał rozpacz. .

- Nie ma pagera? Komórki?

- Nie wiem.  
 - A jak wygląda? Może ja go znajdę.  
 - W tym cały problem, że nie wiem, jak on wygląda!  
 - Chwilczkę, to ty nie znasz swojego narzeczonego?!

- No właśnie. - Odgarnęła włosy z twarzy i skrzywiła się, usuwając grudkę błota z policzka.

- To jeszcze tak się zdarza? Starszyzna dwóch rodów ustaliła, że się pobierzecie, a wy grzecznie...  
 - To nie całkiem tak. - Najpierw zachichotała, a potem westchnęła z rozpaczą. - Chciałabym, żeby tak było. A gdybyś zaniósł mnie do stoiska z ciasteczkami? Ktoś z moich krewnych powinien tam być.

- Wedle życzenia szanownej pani.

- Nie, to na drugim końcu rynku i wszyscy mnie zobaczą. Stanę się pośmiewiskiem całego miasta... o ile to już się nie stało! A wszystko przez ciebie, ty... - Głos dziewczyny niebezpiecznie załamał się.

- Błagam, bij mnie, kop, drap, ale nie wrzeszcz, a już broń Boże nie płacz! Zabiorę cię do szpitala i wszystko będzie dobrze..

- Nic nie będzie dobrze - jęknęła. I nagle dodała energicznym głosem: - Galopuj do szpitala, może da się jeszcze uratować mój honor!

- Słucham?!

- Nieważne. - Gwałtownie machnęła ręką. - Bierz mnie na plecy i cwałuj!

To musiał być senny koszmar, jeden z wielu, jakie zawsze nawiedzały Marisę przed festiwalem.

A to przespała całą uroczystość, a to wyskoczył jej na nosie pryszcz tak wielki, że dzieci uciekały z krzykiem, a to stała naga na środku rynku. A teraz, cała ubłocona i sponiewierana, na oczach tłumu cwałowała na plecach szkockiego prostaka o kasztanowych włosach, niejakiego Barriego MacKenzie! Niech piekło pochłonie Szkocję!

Musiała jednak przyznać, że ten troglodyta starał się, jak mógł najlepiej. Zdobył torebkę z lodem, a kiedy już siedzieli w poczekalni, oparł jej nogę na swoim udzie, by z kostki odpłynęła krew. Był również na tyle przywoity, że wniósł ją do szpitala jak kobietę, a nie jak worek kartofli. Choć gdy przerzucił ją z pleców na ręce, a ona instynktownie chwyciła go za szyję, miał bardzo niewyraźną minę. Ale czegoż można wymagać od szkockiego dzikusia!

To prawda, było jej miło w jego ramionach. Lecz cóż z tego? Ten facet

nie był z jej bajki. Piegowaty, włosy kasztanowe... co prawda jedwabście miękkie...

Rozmarzyła się - lecz tylko na sekundę. Przez tego cholernego Szkota przegapiła swoje przeznaczenie! Gina będzie zachwycona! Jej pozycja wzorowej córki pozostała niezachwiana.

Dlaczego nie kazała mu galopować do stoiska z ciasteczkami, gdzie na pewno byli jej rodzice i Gina? A teraz wszyscy będą pytać: „Co to za przystojny barbarzyńca, na którym galopowałaś przez rynek? Cudowny okaz, wspaniale umięśniony, włosy do ramion, wysokie kości policzkowe, wydatny podbródek, zgrabny nos. Wspaniały dzikus!”

- No, szybciej - mruknęła, zerkając na zegar. A sama miała pretensję, że Barrie się na nią gapi! Wcale nie była lepsza...

Na szczęście patrzył na stanowisko pielęgniarek.

- Zaraz zrobię awanturę, to szybciej cię przyjmą.

- Na dziś już wystarczy awantur. Uspokój się. - Wymownie spojrzała na swoją kostkę. - Nic znasz mnie. Jestem łagodna jak baranek. Poczekam.

Łagodna jak baranek? Niech i tak będzie, pomyślał.

- Słuchaj! A co ty masz wspólnego z tym facetem, za którego miałaś wyjść? O ile dobrze zrozumiałem, w ogóle go nie znasz...

Do diabła, co ją obchodzi jakiś tam amore. Ten Szkot jest taki... intrygujący.

- Czy tam, skąd pochodzisz, wszyscy mężczyźni są tacy wielcy?

- W mojej małej wiosce o nazwie Nowy Jork jest mnóstwo większych ode mnie facetów.

- Masz szkocki akcent, więc nie urodziłeś się w Nowym Jorku.

- To prawda. Przyjechałem do Stanów siedem lat temu, w moje dwudzieste urodziny.

- A więc chodzisz w takiej kraciastej spódniczce.

- Jasne. - Zmrużył oczy. - Niestety, oddałem kilt do prania i na razie muszę chodzić w spodniach.

- Jesteś zgryźliwy.

- A ty pyskujesz od świtu do nocy? A od nocy do świtu okazujesz swój... hmm... wybuchowy temperament? Bo właśnie tak się mówi o Włoskach.

- Nie! Jasne, że czasami pyskuję, ale to się każdemu zdarza, szczególnie gdy spotka troglo... A co do reszty... - Uroczo zaczerwieniła się. - Słuchaj, myślałam, że Szkoci chodzą w kiltach, i tyle.

I że grają na kobzach. A ty nie grasz?

Pokręcił głową. Koniec dyskusji o narodowych tradycjach. Nie po to wyjeżdżał z zapyziałej szkockiej wioski i zamieszkał w Nowym Jorku, by teraz...

- A co robisz? To znaczy, z czego żyjesz? - zapytała.

- Jestem fotoreporterem w magazynie podróżniczym „Celebrations”. Opisuję i fotografuję różne imprezy z całego świata, jak Festiwal Bułek w Hongkongu albo chiński Nowy Rok.

Spontanicznie dotknęła jego ramienia.

- Byłeś kiedyś we-Włoszech?

- Pewnie. W zeszłym roku na karnawale w Wenecji. A ty?

- Nie, prawie nie wyjeżdżałam z Cortiny. Zresztą wcale o tym nie marzę.

- A więc prowadzisz bardzo spokojne życie. Urodziłaś się tu, wrosłaś jak baobab...

- Wcale nie wrosłam, tylko chcę tutaj być z własnej woli.

I wcale nie żyję tak spokojnie... No, może trochę. - Wzruszyła ramionami. - Ale w tym nie ma nic złego. Lepiej opowiedz mi o Włoszech. To podobno najromantyczniejsze miejsce na świecie.

- Wcale nie jest romantyczne. - Wzruszył ramionami.

- Jak możesz tak mówić? Co może być bardziej romantycznego niż przejażdżka gondolą w Wenecji, wypita filiżanka cappuccino w kafejce we Florencji albo pocałunek w Koloseum? - Kiedy tylko znalazła jakieś zdjęcie z Włoch, wycinała je i umieszczała na ścianie, by w ten sposób rozbudzić w sobie romantyczne emocje.

- Weneckie kanały są zalewane przez ścieki, a całe miasto tonie. Powietrze w Rzymie cuchnie spalinami, a Koloseum się sypie. Zresztą, cóż może być romantycznego w miejscu, gdzie dla rozrywki zabijano ludzi?

Spojrzała na niego, a po chwili, zamiast go zganić, ku swojemu zdumieniu powiedziała:

- Na pewno uznałbyś je za romantyczne, gdybyś był tam z kimś, kogo kochasz. I pewnie byłeś. - Natychmiast ujrzała Barriego, jak płynie gondolą przytulony do wysokiej, chudej blondynki.

Do diabła, co ją to obchodzi! A on prychnął ze złością.

- Te głupoty wymyślono po to, aby mężczyźni rezygnowali z wolności na rzecz czegoś, co, według kobiet, jest wiecznym szczęściem, choć na ogół trwa nie dłużej niż mecz piłki nożnej.



- Głupoty?

Szeroko otworzyła usta, lecz w tej samej chwili wywołała ją pielęgniarka.

Wziął ją na ręce i zaniósł do ambulatorium. Gdy już położył ją na łóżku, pochylił się i powtórzył:

- Głupoty.

- Doktor zaraz się panią zajmie - oznajmiła pielęgniarka, lecz Marisa tego nie usłyszała, utonęła bowiem w oczach Barriego. Miały odcień nieba tuż przed deszczem.

Zaczęła coś mówić, lecz patrzył na nią tak, że umilkła.

Z przerażeniem spostrzegła, że znów otworzyła usta, i natychmiast je zamknęła. Ten facet absolutnie nie był jej ideałem. Potarła nos i zamknęła oczy.

- Głupia gęś - mruknęła zdesperowana.

- Słucham!?! - Barrie zareagował ostro. - To nie ja chcę wyjść za jakiegoś faceta, którego nawet nie znam. To ty jesteś głupią gąską.

Wszedł lekarz.

- Pani Marisa Cerini? Zaraz zobaczymy, jak pani pomóc.

- Życzę szczęścia - mruknął MacKenzie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ach, gdyby mogła w tej chwili umrzeć!

Jedna wiadomość była dobra - nie było złamania, lecz była również i zła - naderwane ścięgno Achillesa. Jeżeli przez następne cztery tygodnie Marisa będzie nosić usztywniający opatrunek, obejdzie się bez operacji. Najgorszy był sam opatrunek - sięgał od palców do kolana, a z przodu zapinał się na sześć rzepów.

A naprawdę straszne było to, że słońce wędrowało już ku zachodowi i cała rodzina czeka, że Marisa pojawi się w domu ze swym amore, lub przynajmniej z opowieścią o tym, jak go poznała.

Skrzywiła się, wyobrażając sobie, jak cała oblepiona błotem, podpierając się na kulach, kuśtyka w jednym bucie przez ten piekielny bruk przy fontannie. Błoto z twarzy zmyła razem z makijażem, lecz włosy miała tak splątane, że nawet szczotka nie pomagała. Róż położony na policzkach w niczym nie zmienił faktu, że wyglądała odstręczająco i nawet największy desperat nie zainteresuje się nią. To gorsze niż najbardziej upiorny sen!

- Jeśli chce pani uniknąć operacji - ostrzegął lekarz - przez dwa tygodnie nie powinna pani obciążać tej kostki. Przez następne dwa tygodnie proszę poruszać się tylko o kulach. Czeka więc panią miesiąc leniuchowania, a chłopak będzie musiał tańczyć wokół pani. - Dowcipny doktor mrugnął znacząco.

Marisa spojrzała na Barriego, którego mina wyrażała jedno: przerażenie. Ten prostak bał się jednak nie o dziewczynę, której kontuzja okazała się nader poważna, lecz o siebie. Marisa szybko zainterweniowała:

- To nie mój chłopak i nie będzie wokół mnie skakał! Panie doktorze, on uważa, że romanse to głupota. A ja muszę poślubić Włocha! To tradycja rodzinna! Nie chcę być drugą Rosą Pontini, która przyniosła wstyd rodzinie! Od lat wszyscy wytykają nas palcami: „Ci biedni Cerini. Prawda, z najmłodszej córki mogą być dumni, ale ta Marisa... Co za wstyd!” - Rozpaczliwym gestem wskazała Barriego. - Niech pan zobaczy, jak on wygląda! Jasna cera, piegi, brązowe włosy, długi jak tyka... Czy tak wygląda Włoch?! A jego nazwisko... MaccoŃtam! - Ściszyła głos, jakby wyznawała najstraszliwszą tajemnicę: - Panie doktorze, on jest Szkotem! - Zatkąła. - A ja muszę zdobyć męża! Choćby potem mieli mi urznąć nogę, muszę wracać na festiwal!

Doktor uniósł brwi, z trudem zachowując należną powagę.

- Niestety, droga pani, ale to niemożliwe.

Marisa z obrzydzeniem przyglądała się kulom. Miała zakaz chodzenia na dwa tygodnie, więc kul mogła użyć tylko w ostateczności. Pielęgniarka udzieliła krótkiej instrukcji:

- Może się pani poruszać tylko w asyście swojego chłopaka, bo gdyby straciła pani równowagę i upadła, może dojść do najgorszego. A teraz muszę wracać do gabinetu. - Uśmiechnęła się. - Powodzenia!

- To nie jest mój chłopak! - krzyknęła zdesperowana Marisa. - Przecież on nie jest Włochem! Nawet na niego nie wygląda... - zakwiliła żałośnie.

Pielęgniarka z uznaniem zerknęła na Barriego.

- Ale za to jaki przystojniak! - Wyszła z ociąganiem, uśmiechając się przy tym zdecydowanie zbyt zalotnie.

Przystojniak beczelnie się zaśmiał.

- Dawaj! - Wyrwała kule Barriemu. Chwyciła je mocno i zrobiła jeden krok-podskok. I następny. - Widzisz, to żaden problem. Już umiem. Nie musisz tu tkwić.

Kule rozjechały się, a biedne dziewczę wyładowało na podłodze.

- Nic ci nie jest? - zapytał Barrie. - A mówiłaś, że to ja jestem niezgrabny. - Podniósł ją. Te jego oczy, ten jego uśmiech...

No, tak, na sekundę straciła samokontrolę i już stała z otwartą buzią... Szybko ją zamknęła i rozejrzała za kulami.

Była naprawdę wściekła. Nie dość, że stała się kaleką, nie dość, że znów klapnęła na pupę jak ostatnia ofiara, to jeszcze rozplywa się pod spojrzeniem tego szkockiego kmiotka. Jej duma cierpiała bardziej niż obolałe ciało.

- Nic mi nie jest — prychnęła ze złością - tylko nie wolno mi chodzić. - Ogarnęła ją panika. - Mój Boże, a ja natychmiast muszę wracać na rynek!

Usta Barriego zadrżały w niemym chichocie, co doprowadziło ją do furii.

- Nie przeciągaj struny, ty prostacki, głupi Szkocie! - warknęła.

- No cóż, właściwie to mógłbym znów pogalopować z tobą na rynek, ale skoro jestem tylko głupim Szkotem... - najgorsze było to, że jak zawodowy parodysta naśladował ton głosu Marisy - ... i do tego prostakiem, to pewnie się na to nie zgodzisz.

Założył ręce i zaczął sobie pogwizdywać.

- No, dobra, odwołuję prostaka.

- Hmm...
- Wszystko odwołuję. Nie jesteś głupim Szkotem.
- Hmm...
- A tak w ogóle, Szkoci to też ludzie. Chciałam powiedzieć, to całkiem przyzwoity naród.
- Hmm...
- Czego jeszcze chcesz, do diabła?! Cwałuj na rynek! - Krzyknęła, pomyślała sekundę i dodała miłutko: - Proszę cię, galopem, błagam...
- Tak to co innego. Już się zaprzęgam, szanowna pani!
- Nie musiałaś tego tak dokładnie tłumaczyć - odezwał się Barrie, niosąc Marisę do samochodu.
- Czego? - Wierciła się, by znaleźć najwygodniejszą pozycję. No, świetnie, teraz przycisnęła się piersią do jego ramienia.
- Ze nie wierzę w miłość i że nie jestem Włochem. Wystarczyło powiedzieć: „To nie jest mój chłopak”.
- Myślałam, że ty pierwszy wyprowadzisz go z błędu, bo przecież doktor posądził cię, że jestem twoją dziewczyną. Co za hańba! - powiedziała z gryzącą ironią.
- Wzruszył ramionami... i otarł się o jej pierś. Zadrżeli oboje.
- Nie bądź taką jędzą!
- Stanął przed starym niebieskim buickiem.
- Wspaniała limuzyna - mruknęła, wciąż wściekła za, jędzę”.
- Facet, który miał opisywać wasz festiwal, załatwił go w jakiejś agencji. Wygląda jak wygląda, ale nie jest taki zły, a w niektórych krajach uchodzi nawet za dobry samochód.
- To musi być fascynujące - zaczęła, a Barrie zajął miejsce kierowcy, sadowiąc sobie Marisę na kolanach. - Widziałeś tyle miejsc, tyle krajów...
- Mocno schwycił dziewczynę w pasie, by przesunąć ją na miejsce pasażera.
- ..zwyczajów... - ciągnęła.
- Dziwnym trafem jego ręka zsunęła się na biodro dziewczyny, a potem jeszcze niżej.
- Ale klops! Zaklinowaliśmy się. Tak zawsze się kończy, kiedy próbuję być dżentelmenem.
- Roześmiała się... i musnęła policzkiem jego brodę.
- Co cię tak rozśmieszyło? Nie nadaję się na dżentelmena?

- No cóż, rękę trzymasz na mojej pupie, ramię na biuście, a po wyrazie twych oczu widać, że zamierzasz mnie pocałować...

Do cholery, ta diablica miała rację! I nawet nie mógł się od niej odsunąć...

- Przepraszam.

- Zarumieniłeś się! Ty naprawdę się zarumieniłeś!

- Wcale nie. Po prostu jest mi... gorąco. I tyle.

Było jej miło, ciepło i przyjemnie. Sytuacja stawała się wprawdzie dość dziwaczna, Marisa przytulała się bowiem do faceta, którego właściwie nie знаła, ale co tam...

- Może lepiej... - zaczął.

- Jeśli ruszę się w tę stronę... - powiedziała równocześnie. Oboje roześmieli się, lecz po chwili zapanowała krępująca cisza. Ich ciała coraz szczelniej przylegały do siebie, a przecież oboje tego nie chcieli...

- Musimy pomyśleć, jak będzie nam najłatwiej się wyplątać.

- Masz rację, myślmy - zgodziła się. Minęło kolejnych kilkanaście sekund.

- No to się... rozplączmy - powiedział cicho.

- Tak, jak najprędzej. Ja... - spojrzała mu w oczy - muszę iść... - mruknęła z roztargnieniem.

- Spotkać się z facetem, za którego wyjdiesz za męż.

- No, właśnie! - Pokiwała głową. Mój Boże, jak mogła tak się zapomnieć? - No to co nas trzyma?

I już po chwili gwałtownej szamotaniny, pełnej przypadkowych dotknięć i muśnięć, Marisa znalazła się w fotelu pasażera. Pisnęła, kiedy Barrie sięgnął pod jej spódnicę.

- Odsuwam tylko fotel - wyjaśnił natychmiast. - Połóż chorą nogę na tablicy.

- Wszystko w porządku? - zapytał, zamykając drzwi.

- Tak, jasne. Lepiej się pośpieszmy - oznajmiła. I znów zapadła pełna dziwnych podtekstów, krępująca cisza.

- Skoro nie lubisz szumu i wrzasku, to co robisz na festiwalu? - zapytała wreszcie Marisa.

- Facet, który powinien tu być, zwariował... to znaczy zakochał się na zabój i musiałem go zastąpić.

- Hmm - skomentowała, a potem dodała: - Ten festiwal jest wspaniały.

Ma bardzo starą tradycję i jest bardzo rodzinny.

Pokręcił głową, manewrując wśród samochodów.

- Rodzina i tradycja przywiązują cię do miejsca.

- Nieprawda, uwalniają cię, bo dzięki temu wiesz, jak masz postępować. Spełniasz oczekiwania innych, a inni spełniają twoje. Bez rodziny i tradycji niewiele wiesz, żyjesz w ciągłej niepewności.

Znowu prychnął.

- Gdybym nie zerwał z moją rodzinną tradycją, nadal tkwiłbym w tej samej zapadłej wiosce, w której się urodziłem. Jakaś dziewczyna, znana mi od dzieciństwa, została by wyznaczona mi na żonę, splodziłbym syna, które przejmie po mnie rodzinną gorzelnię, gdy już umrę z przepicia.

- Nie mogę tego słuchać! Jesteś potworem i dobrze się stało, że ta biedna dziewczyna nie wyszła za ciebie. A jeśli już chcesz wiedzieć, to prawdziwe małżeństwo jest czymś pięknym! To życie z osobą, którą zgodnie z przeznaczeniem masz kochać do śmierci, i basta! - Tak Marisa wyobrażała sobie płomienną wypowiedź prawdziwie romantycznej dziewczyny, za jaką ze wszech sił pragnęła teraz uchodzić. - To podtrzymywanie rodzinnych tradycji i tworzenie własnych. I nie pryčaj mi tu! - krzyknęła, a Barrie skulił się, skruszony. - Małżeństwo to... O, tam jest parking. Nie widzisz?! Odbij w lewo! O, nie, dlaczego wszyscy odjeżdżają?! - zakwiliła na koniec żałośnie.

Prawda była okrutna: rynek już w połowie opustoszał. Nim MacKenzie zdążył zaparkować, pechowa przyszła oblubienica gwałtownie otworzyła drzwiczki.

- Hej, zaraz! Nie będziesz chyba wlec się o kulach?

- A ty nie będziesz mnie niósł do fontanny! Zrobię z siebie pośmiewisko, a ja szukam męża! Już zapomniałeś?!

- Nie bądź niemądra, zabijesz się.

I bez dalszych zbędnych ceregieli znów wziął ją na rękę, jakby nic nie ważyła. Cóż, ten wielki facet miał jednak swoje zalety.

Ruszyli, a Marisa uważnie rozglądała się w poszukiwaniu odpowiednich kandydatów.

Zachowaj spokój, jeszcze jest tu sporo ludzi, powtarzała sobie w myślach, gdy dotarli do fontanny. On musi tu być. Trzeba tylko trochę czasu...

Pierwsza kropla spadła jej na nos.

- Zaczyna padać - powiedział Barrie spokojnie.  
 - Nie ma prawa! - krzyknęła, z rozpaczą patrząc na ciemniejące niebo.  
 - Matka natura ma inne zdanie - stwierdził sentencjonalnie.  
 - To niemożliwe. Znosi się na mały deszczyk. Kropelka czy dwie. Nigdy nie pada w czasie festiwalu. To niemożliwe... Naprawdę nigdy...

Lunęło jak z cebra. Wprost ogarnęła ich ściana wody.

- Jeśli to mały deszczyk, ciekaw jestem, jak u was wygląda prawdziwa ulewa - mruknął.

- Łatwo ci ze mnie drwić - poskarżyła się. - No jasne, to nie twoje życie legło w gruzach!

W chwili gdy zagrzmiało, znalazł jakąś wnękę.

- Przez faceta, za którego masz wyjść, chociaż go nawet nie znasz? - Postawił Marisę ostrożnie na ziemi. - No cóż, maro nadzieję, że spotkasz go jutro.

Odgarnęła z twarzy mokre włosy.

- To może stać się tylko dzisiaj. W pierwszy wieczór festiwalu, podczas pełni. - Oparła się o drzwi i zamknęła oczy.

- Chodzi o wilkołaka? Albo o wampira?

- Daruj sobie te żalosne dowcipy - powiedziała, zrezygnowana. - To nasza... rodzinna tradycja. Och, ty i tak tego nie zrozumiesz! Z twoimi poglądami...

- Chyba się teraz nie rozplaczesz? - zapytał z lekką paniką w głosie.

- Nie, nie obawiaj się. - Była smutna i przybita. Banie bardzo chciałby ją pocieszyć, ale nie wiedział, jak ma to zrobić. A Marisa ciągnęła dalej: - Dla was, ludzi nowoczesnych, może się to wydawać głupie i śmieszne, ale chodzi o to, że każda kobieta z mojej rodziny poznawała swego ukochanego na rynku, w pierwszy festiwalowy wieczór. Każda, oprócz mnie. A teraz wszyscy czekają, że zjawię się w domu z dobrymi wieściami... I co ja teraz zrobię? Trudno, muszę się rozplakać - jęknęła. - To rodzinne, taka cecha Cerinich. Płacemy z byle powodu... A ja teraz mam wielki powód. I nie waz się mówić, że jestem niemądra!

Coś zamruczał i położył dłonie na jej ramionach.

- Jesteś bardzo mądra! Tylko nie płacz. Nie jest tak źle. Posłuchaj, przepraszam, że wepchnąłem cię w tę kałużę. To była moja wina.

Nie był już cynicznym kpiarzem, współczuł jej naprawdę. Zapragnęła rozszlochać się... w jego ramionach.

- Pamiętaj, że nie mam chusteczek. - Kciukami otarł jej oczy. - Więc proszę cię, nie płacz, maleńka.

A jej zakręciło się w głowie.

Nagle drzwi, o które opierała się Marisa, gwałtownie otworzyły się. Dziewczyna zachwiała się i omal nie upadła, lecz MacKenzie w ostatniej chwili zdołał ją pochwycić.

- Przepraszamy! - zawołało dwóch młodzieńców, wybiegając na deszcz.

- Nic ci nie jest? - zapytał z troską, co bardzo jej się spodobało.

- Mmm? - Zamrugła powiekami. - Nie, wszystko w porządku. Może mógłbyś mnie już postawić.

- Jasne. - Oparł ją o ścianę i cofnął się. - Może to za jednego z nich miałaś wyjść za mąż.

- Nie, to chłopcy Giannich. Za młodzi. - Musiał się z tym wrywać? A było tak miło... - Co ja zrobię? Nie mogę znów się zbłaźnić! Z naszymi krewnymi z Włoch wymieniamy się biuletynami rodzinnymi i wiesz, co mama o mnie napisze? „Marisa jak zwykle zawiodła. Pewnie będziemy musieli machnąć na nią ręką, bo ile razy możemy ją stroić i wysyłać na rynek?” A mój brat przyjmuje zakłady! Przejdę do historii jako ta, która nie potrafiła znaleźć prawdziwej miłości. Będę jedyną starą panną w rodzinie! W pracy też nie awansuję, bo papa stwierdzi: „Jeśli nie potrafiła znaleźć męża, to tym bardziej nie poradzi sobie z działem sprzedaży!” I już do końca życia zostanę jego sekretarką. Niezamężną sekretarką! Nie rozumiesz?!

Jej desperacja nie знаła granic. By nieco rozluźnić atmosferę, Barrie stwierdził:

- Nie widzę innego wyjścia. Znajdę ci jakiś rewolwer i będzie po kłopotcie.

- Świetny pomysł. Wpakuję w ciebie cały magazynek!

- We mnie? - spytał z beczelnie niewinną miną.

- Bo to wszystko twoja wina! Gdyby nie ty, już od kilku godzin byłabym narzeczoną jakiegoś przyzwoitego Włocha!

- Tak, to moja wina. Już ci to mówiłem. Ale co mam teraz zrobić? Zaczepiać każdego młodego faceta, z wyglądu południowca, i pytać się, czy uczestniczył w festiwalu, a jeśli tak to czy przypadkiem nie chciałby zakochać się w tobie? O nie natychmiast zgaś te iskierki nadziei w oczach! Nie ma mowy. Ja tu się nie bawię, ja tu pracuję.



- Ja też!
- Jak to: pracujesz? Sądziłem, że w tej głupiej tradycji chodzi o miłość.
- Bo chodzi o miłość, ale praca to premia. - W rzeczywistości chodziło jej tylko o awans, ale że pochodziła z romantycznej rodziny Cerinich, nie mogła się do tego przyznać. - Muszę pomyśleć. I coś zjeść.
- Potrzebujesz jedzenia, żeby myśleć?
- To cecha rodzinna Cerinich. Jak jesteśmy smutni, jemy, jak się cieszymy, jemy, gdy rozwiązujemy problemy...
- Jecie - dokończył i sięgnął do torby. - To prawdziwe szkockie owsiane ciasteczka. Specjalnie je dla siebie sprowadzam.
- Ugryzła jedno. Było twarde, suche i okropne w smaku, ale jakoś dało się przełknąć, a o to przecież chodziło. Jedzenie jeszcze nigdy jej nie zawiodło.
- Zdjęcia! Masz zdjęcia!
- Tak, fotografowanie to mój zawód. Nie rozumiem jednak. ..
- Fotografujesz ludzi! - Chwyciła go za koszulę. - Na przykład mężczyzn, którzy byli na rynku, zanim wepchnąłeś mnie do kałuży!
- W przyszłym tygodniu lecę do Barcelony, ale potem będę siedział w domu i zajmę się tymi zdjęciami. Od razu wyślę ci odbitki, jeśli tylko chcesz.
- Nie mogę czekać tak długo - powiedziała smutno. - Do tego czasu rodzina uzna, że znów zawiodłam, a mężczyźni wrócą do Włoch, czy skąd tam przyjechali. Muszę je mieć zaraz. - Zauważyła, że stoi za blisko Barriego. Cofnęła się, straciła równowagę i musiała oprzeć się o niego. - Przepraszam.
- Zaśmiał się i ponownie oparł ją o ścianę.
- Nie możesz utrzymać rąk z dała ode mnie, co? Zacisnęła pięści, czując, jak jej twarz płonie.
- W ogóle nie chcę cię dotykać! Nie jesteś w moim typie. I co ty wyrabiasz?! Dlaczego się rozbierasz?
- Muszę wyjąć koszulę. Nie bój się, ty też nie jesteś w moim typie.
- I dobrze! - powiedziała z gniewem. - Jesteś chudy jak tyka! Gdzie ci do smukłych, ciemnych Włochów - i spojrzała na jego obnażony tors.
- Przecież ten Szkot ma idealne ciało! jęknęła w duchu. Smukły i sprężysty, toż to facet z jej snów...
- A mnie podobają się wysokie, szczupłe, małowmne blondynki, bez aspiracji do małżeństwa i innych...

- Nie mów! - Patrzyła na niego z zaciśniętymi ustami i wysuniętym podbródkiem.

- ...głupot.

- Aaa! No to w porządku!

- W porządku.

Pragnęła wyczytać coś w chmurnych, niebieskich oczach, lecz gdy jego spojrzenie przeniosło się na jej usta, poczuła się dziwnie nieswojo. On uważa, że romanse to głupoty... pomyślała ze smutkiem, a po chwili szepnęła:

- Dlaczego tak stoisz?

- Mam dziwną ochotę pocałować cię i usiłuję to sobie wyperswadować.

W jego oczach zalśniły słabiutkie iskierki, ale mówił poważnie.

- Pomogę ci. Nie jestem w twoim typie.

- Prawda.

- A ty nie jesteś w moim.

- Też się zgadza.

- A... a ja bym cię nigdy nie pocałowała.

- Jesteś tego pewna? - zapytał, szukając w jej oczach... czegoś.

- Bardzo. No... prawie. - Jej wargi były miękkie i ciepłe, jak tuż przed pocałunkiem, krew pulsowała w żyłach, a dłonie drżały. Złe! Tak miała się czuć przy tym właściwym mężczyźnie, a nie przy jakimś szkockim przybłędzie.

- Uważasz, że gdybym cię pocałował, niczego byś nie poczuła, tak?

- Czy to rani twoją męską dumę? Trudno, ale mam tylko jeden cel, muszę znaleźć mojego ukochanego.

- A gdybym jednak cię pocałował, stałabyś bez ruchu? Jak pozbawiony uczucia słup?

- Jasne, że tak!

- Kłamiesz.

- Nie kłamie! Jako mężczyzna w ogóle dla mnie nie istnieje... W tym momencie Barri ją pocałował. Starła się być jak

martwy, nic nie czujący słup... Jej wargi wcale nie były rozchylone, nie przymknęła oczu... Tylko dlaczego nagle zrobiło się ciemno, a ziemia zawirowała?

Otworzyła oczy i stwierdziła, że Barrie się jej przygląda. Kiedy jej ramiona owinęły się tak wokół jej szyi?

- Czy przed chwilą było trzęsienie ziemi? - zapytała niepewnie.

Jego uśmiech był zdecydowanie zbyt promienny jak na kogoś, kto właśnie przeżył kataklizm.

- W pewnym sensie.

- Widzisz, żadnej reakcji. - Odsunęła się. - Tętno w normie - oznajmiła, czując szalony łomot swojego serca - i wcale nie brak mi tchu - wysapała. - A zachwiałam się dlatego, że naprawdę wyczułam wstrząsy.

- Rozumiem. - Zgodził się, lecz był bardzo zadowolony z siebie. - No, przyznaj się, że ten pocałunek zrobił na tobie wrażenie.

- Wcale nie!

- W takim razie za mało się starałem. Ale to da się nadrobić...

- Nie! - wyciągnęła rękę. - Po prostu uznaj, że nie każda kobieta mdleje w twoich ramionach... co zresztą wcale mnie nie dziwi. - Odchrząknęła. - Wracajmy do najważniejszej sprawy, czyli jak uratować moją godność.

Lecz Barrie mruknął z ledwie hamowaną złością:

- Zaraz, zaraz, chwileczkę! Zaczekaj. Możesz powtórzyć, co ciebie nie dziwi?!

Zachichotała na widok jego urażonej miny, a potem pstryknęła palcami - i rozwiązanie zjawilo się w tej samej chwili.

- Mam!

- Co?

- Wiesz, co sobie pomyślałam?

- Wolę nie wiedzieć, co w twojej szalonej głowie...

- Masz rację, że się boisz. - Zmrużyła groźnie oczy. - Za chwilę spotka cię coś naprawdę strasznego. - Ta dziewczyna nie żartowała i MacKenzie, ten wielki i twardy Szkot, poczuł się trochę nieswojo. - Bo to ty zostaniesz moim idealnym mężczyzną.

Cofnął się, szeroko otwierając oczy.

- A nie uznaliśmy przed chwilą, że nie podobamy się sobie?

- Tak, zaraz przed tym, jak mnie pocałowałeś.

- Chciałem tylko coś ci udowodnić, więc to się nie liczy! - Był wystraszony nie na żarty.

- Nie bądź głupi! Przecież nie ciągnę cię do ołtarza. Będziemy tylko udawać, aż wreszcie znajdę mojego amore.

- Chwileczkę, mamy udawać... Dopóki co?!

- Ze też wcześniej na to nie wpadłam! - Omal nie zrobiła kroku do

przodu, ale w porę przypomniała sobie o kontuzji.

Podobało jej się, jak jego ramiona automatycznie wysunęły się, by ją podtrzymać. - To potrwa najwyżej kilka dni. Wystarczy, że będziesz blisko mnie. W końcu poznaliśmy się na rynku, przy fontannie, o zachodzie słońca. - Zlustrowała go spojrzeniem.

- Może nawet nikt nie zauważy, że jesteś Szkotem?

- Mało prawdopodobne - warknął, lecz Marisa, niczym nie zrażona, ciągnęła dalej:

- Ufarbujesz włosy na czarno.

- Co?! Nawet o tym nie myśl... zresztą w ogóle wybij sobie z głowy, abym miał udawać twojego...

- A chcesz, żebym się znowu rozpłakała?

- Grasz nieuczciwie. Wiesz o tym?

- Nie, to nieprawda. Jesteś mi to winien. Sam mówiłeś, że to wszystko twoja wina.

- A ty cynicznie żerujesz na moim sumieniu. - Zrobił ponurą minę.

- Zrobisz, jak zechcesz, ale ja cię tak bardzo proszę - powiedziała z powagą. - Pomóż mi, bo inaczej stanę się pośmiewiskiem dla całej rodziny i dla miasteczka... pomóż mi zachować godność.

- A co z moją godnością?

- Przez parę dni nie będzie ci potrzebna. - Machnęła ręką.

- Przejrzymy zdjęcia i zobaczymy, kto był na rynku, a na razie będziemy udawać, że zakochaliśmy się w sobie do szaleństwa.

- Jak wygląda ktoś zakochany do szaleństwa?

- Nie wiesz?

- Z radością wyznaję, że nie wiem.

- No wiesz! Przez cały czas będziesz na mnie patrzył z czułym pożądaniem, będziesz się do mnie przytulał w słodki, romantyczny sposób, a w sposobnej chwili będziesz usiłował skraść mi całusa, no i będziesz mi mówił dużo ślicznych komplementów. To nic trudnego.

- Rany boskie, toż to ma być aktorstwo godne Oscara! Rzuciła mu uśmiezek.

- A jak mnie całowałaś, to też było aktorstwo? Prychnął wściekle i wyrzwał na zewnątrz. Wciąż lało jak z cebra.

- Próbowałem tylko coś udowodnić.

- A co?

- Ze ja... Ze ty... No, to już nieważne.

- Nawet nie pamiętasz!

- A ty postradałaś zmysły, jeśli myślisz, że się zgodzę! Za bardzo się przejmujesz tym, co myśli twoja rodzina. Dziewczyno, mamy nowe tysiąclecie! Powiedz im, że tradycje zostały unieważnione w 2000 roku, a ty jesteś samodzielną kobietą i nie możesz żyć wedle ich marzeń. Nie możesz tkwić przez całe życie w jednym miejscu, usiłując ich uszczęśliwić. Powiedz, że chcesz poznać świat... - Zamrugał powiekami, po czym dodał: - Oraz że sama sobie znajdziesz partnera.

- Nic nie rozumiesz! - Chwyciła Barriego za koszulę. -Moja rodzina naprawdę żyje tradycjami. Dziesięć lat temu rodzice i dziadkowie pojechali do Włoch na pogrzeb. Śmierć mojego wujecznego dziadka była smutna, ale śmierć starych obyczajów, rozpad rodzinnych więzów okazały się jeszcze gorsze. Gdybyś widział ich smutek, zrozumiałbyś. Ja i tak złamałam już wiele reguł i jeśli nie chcę zranić serca moim najbliższym, muszę podtrzymać tradycję.

- A ta praca, o której wspominałaś?

- Pragnę zostać kierowniczką działu sprzedaży w rodzinnej firmie. Dotąd na tym stanowisku pracowali tylko mężczyźni.

- Czy to nie przejaw dyskryminacji?

- I co? Wytoczę proces własnemu ojcu? Jest, jaki jest. Przynależ, że jeśli w końcu postąpię zgodnie z tradycją, da mi tę pracę.

- Łatwo mu było to obiecać, bo pewnie uważa, że jak zwykle znów ci się nie uda. Tak było?

- Nieważne.

- A więc robisz to dla stanowiska? Teraz sprawa zaczyna nabierać sensu. - Uśmiechnął się triumfalnie.

- Nie robię tego tylko dla kariery. - Zacisnęła dłoń w pięść i zaczęła nią bębnić w jego pierś. - Zapomnij o pracy! Miłość i tradycja to dla mnie wszystko! Nie możesz uwierzyć, że chcę mieć udział w tym romantycznym przeznaczeniu mojej rodziny?

- Nie. Uważam, że usiłujesz dopasować się do cudzych marzeń.

Czy to aż tak widać? pomyślała ze smutkiem, ale się nie poddawała.

- Uwierz, naprawdę jestem beznadziejną romantyczką. -Stanęła na palcach zdrowej stopy. - I potrzebuję twojej pomocy. Mogę błagać, rozplakać się albo zrobić ci awanturę, lecz dużo milej byłoby, gdybyś

zapropował mi pomoc, bo jesteś prawdziwym dżentelmenem. - Sądząc po jego minie, nie przekonała go. - I dlatego, że to wszystko to twoja wina. Gdyby nie ty, siedziałabym teraz w kawiarni, śmiejąc się razem z moim wymarzoną mężczyzną.

Lecz on nadal nie wyglądał na przekonanego.

- No to zrób tak dlatego, że jestem zdesperowana i potrzebuję cię... twojej pomocy. Jesteś jedynym mężczyzną... który... może mi pomóc - dokończyła cicho. - Trwali przez chwilę w milczeniu, aż w końcu Marisa zapytała: - No i co?

- Bardzo ładnie pachniesz, wiesz?

Reszta argumentów natychmiast wyleciała jej z głowy. Barrie przesunął palcem po jej szyi i nacisnął podbródek, by zamknąć jej usta.

- Czy... usiłujesz odwrócić moją uwagę i zbyć mnie byle czym? - zapytała.

- A mam taką szansę?

- Nie. Wciąż cię potrzebuję. Musisz mi pomóc. - Zamrugła powiekami, by odzyskać przytomność umysłu. - Po prostu musisz i... i basta!

- Dobrze.

- Co?

- Powiedziałem „dobrze”. Pomogę ci, chociaż na pewno będę tego żałować.

Chciała go z wdzięczności pocałować, ale się powstrzymała.

- Dziękuję - powiedziała po prostu.

- Ależ to drobiazg - mruknął z ledwie uchwytną ironią.

- I na pewno nie będziesz tego żałował. - Skorzystała z okazji, by się cofnąć. - Pomożesz mi znaleźć moją mężczyznę, rodzina nie będzie rozczarowana, a gdy już będzie po wszystkim, zrobisz ze swoim życiem to, co uznasz za stosowne. - Uśmiechnęła się. - Jakie to proste, prawda?

Już się nie uśmiechała, gdy jechali do domu. Patrzyła na strugi deszczu przesłaniające zatłoczone kawiarnie, bary i liczne włoskie knajpki. Jakaś para szła w deszczu, trzymając się za ręce i wyglądając tak bardzo romantycznie, że Marisa ze wstrętem odwróciła głowę. Czowała lekki ból w kostce. Z przerażeniem myślała o tym, że za chwilę będzie musiała okłamać całą swoją rodzinę.

Teoretycznie nie postąpiła wbrew tradycji. Ale kiedy jej bliscy go zobaczą... o rany! Zerknęła na Barriego, który podchwycił jej spojrzenie.

No, dobrze, nie mogła myśleć wyłącznie o zbliżającej się konfrontacji. Pocałunek był długi. Barrie miał ponurą minę, chociaż Marisa nie była pewna, czy z powodu zbliżającej się kolacji, czy pocałunku.

- Może to nie był najlepszy pomysł - przyznała.

- Na pewno nie.

- Nie cierpię okłamywać rodziny. Zrobiłam to tylko raz, kiedy powiedziałam mamie, że nie całowałam się z Frankiem w samochodzie. Miałam piętnaście lat. - Machnęła ręką, widząc jego zdumione spojrzenie. - To wielkie kłamstwo.

- Owszem.

- Nie musisz się ze mną ciągle zgadzać!

- No to powiedz prawdę. Postaw się. Udowodnij im, że głupotą jest wymagać od ciebie szukania męża na festiwalu.

- Może powinnam... Nie, nie mogę. I to nie jest głupota, to po prostu... część mojego dziedzictwa. Gdybyś urodził się w mojej rodzinie, to byś rozumiał. Po prostu nie zniosę, jeśli w jesiennym biuletynie moje imię znajdzie się znów w kolumnie ze złymi wiadomościami.

- Mówię, powiedz im prawdę, a ja cię poprę.

- Ty, Szkot, chcesz pouczać tradycyjną włoską rodzinę? Ależ proszę bardzo, zrób to, a ja ci wystawię nagrobek..., Nie, musimy im wmówić, że wprost nie widzimy świata poza sobą.

Barrie przez chwilę wpatrywał się w nią.

- Masz problemy z podejmowaniem decyzji, prawda?

- Nie! Tak! Czasami. Rzadko. No dobrze, często. Tak! Mam małe problemy z podejmowaniem decyzji.

- Jesteś pewna? - W oczach Barriego pojawiły się błyski.

- Absolutnie. Ale nie zawsze.

Roześmiał się. A potem pokręcił głową i wyjrzał przez okno.

- Mam przecucie, że tej akurat decyzji pożałuję. - Zerknął na Marisę. - Ile osób będzie u twoich rodziców?

- Niewiele. - Przecież nie będzie ciotek, kuzynów, wujów i rodziny z Włoch. Tylko najbliżsi krewni. - Będzie Nonna, moja babcia. To wspaniała kobieta. Uwielbiam patrzeć, jak gotuje. Rozmawia ze swoim zmarłym mężem, ale to raczej ignorujemy. Będzie wujek Louie, a właściwie mój wujeczny dziadek. Trochę niedosłyszany, ale nie chce sobie sprawić aparatu. Mama często płacze, zwłaszcza teraz, bo przechodzi menopauzę. Papa... no,

to papa. Będzie moja siostra, Gina, córka doskonała, o czym sama ci powie przy pierwszej okazji. I jej mąż, Tino. Mój brat, Carlo, pracuje teraz na stoisku na festiwalu, więc nie będzie go w domu. A, i musisz udawać, że nic nie wiesz o tej tradycji z amore. Mężczyźni zazwyczaj nie wiedzą...

- Póki nie zostaną złapani w sidła.

- Oni tak nie uważają. Miłość, jak strzała Amora, trafia faceta prosto w serce, wtedy dziewczyna zaprasza go na rodzinną kolację, wszyscy przypadają sobie do gustu, no i młodzi żyją długo i szczęśliwie. Nic nie mów! - Potarła nos, czekając, aż Barrie znowu prychnie. Tym razem tego nie zrobił. Ale Marisa wiedziała, że chciał to zrobić! - Tak właśnie było z Giną. Tino to świetny facet, ma własną piekarnię, a ona oczekuje pierwszego wnuka moich rodziców. - Głos Marisy zmienił swoją barwę. - Zajście w ciążę zajęło jej rok i martwiła się, że zawiedzie rodzinę, ale teraz wygląda tak, jakby miała zamiar zaraz eksplodować. W dodatku przez parę lat będzie się zajmować wyłącznie dzieckiem. Cała rodzina jest z niej taka dumna.

- A ja wcale nie jestem dumny, że pomagam zastraszonej osobie, której jedynym celem jest zadowolenie rodziny - oznajmił Barrie. - Rodzina powinna cię wspierać, nie rządzić tobą. Czyim życiem chcesz żyć, swoim czy ich? Tak ma wyglądać twoje szczęście? - Wjechali w kolistą alejkę przed rozległym domem z pomarańczowymi dachówkami i skrzynkami z kwiatami pod każdym oknem.

Tu się wychowała. Teraz mieszkała nieopodal w małym mieszkanku, lecz wszyscy oczekiwali, że gdy wyjdzie za mąż, wróci z ukochanym pod rodzinny dach, do domu, w którym poza rodzicami mieszkali jeszcze Nonna, wujek Louie, Gina oraz Tino...

- A co jest złego w tym, że staram się uszczęśliwić swoją rodzinę? Ci ludzie dali mi wiele miłości, wychowali mnie...

- A w zamian żądają, byś oddała im własne życie, byś dla nich poświęciła w swoje marzenia.

Zrozumiała, że Barrie nie mówił już o niej, lecz o sobie.

- Mówiłeś o tym, że mieszkałeś w gorzelni - powiedziała cicho.

- Nie w samej gorzelni. - Jego spojrzenie stwardniało pod wpływem nagłych wspomnień. - Wyrosłem w małej wiosce leżącej w górach Szkocji. Miejscowa destylarnia whisky to ośrodek życia towarzyskiego i jedyne źródło utrzymania dla całej rodziny. Tradycja rodziny MacKenzie polega na



tym, że łzami i moralnym szantażem zmusza się wszystkich młodych, by nie opuszczali wioski i do końca swoich dni wiedli uświęcone tradycją życie. Odbiera im się wolność wyboru, zamyka się przed nimi świat, okrada z szansy na zdobycie prawdziwego szczęścia. Przez dwadzieścia lat tkwiłem w jednym miejscu, a teraz muszę to odrobić. Co najmniej do czterdziestki nigdzie na stałe się nie osiedlę.

- Odpowiednia kobieta nie byłaby dla ciebie ciężarem. Mogłaby podróżować z tobą.

- O tym właśnie marzę, by jakaś baba dzień i noc plątała mi się pod nogami i by wciąż kazała się sobą zajmować! Jeżdżę w miejsca, które nie nadają się dla kobiet, zresztą jak i dla większości facetów. Rytuály voodoo na Haiti, ceremonie ofiarne przy czynnym wulkanie. - Widząc pełne zdumienia spojrzenie Marisy, dodał: - Nie, nie chodzi o ofiary z ludzi. Ale zajmuję się trudnymi tematami. Mój cykl artykułów nazywa się „Na krawędzi”.

- Gdybym ja była twoją żoną, co oczywiście nigdy się nie stanie, to pozwoliłabym ci jeździć samemu w bardziej niebezpieczne miejsca, ale nieraz wyruszałabym w podróż z tobą, by poznać ciekawe zakątki i ludzi. Wcale nie musiałbyś cały czas zajmować się mną, ale potem trochę twojej uwagi bym od ciebie wymagała. - Pomyślała o seksownej bieliźnie w swojej skrzyni posagowej i o tym, co włożyła dzisiaj na szczęście.

- Pewnie dałoby się tak to ustawić, gdybyśmy byli małżeństwem, którym zresztą nigdy nie będziemy, bo nie zamierzam się żenić. Chcę zostać jednym z tych dziarskich staruszków, którzy przeżyli swoje życie bez kłamstw i obietnic.

- A wspominając swoje dotychczasowe życie, będziesz z niego bardzo, ale to bardzo zadowolony.

- Oczywiście - oznajmił, otwierając drzwi auta. - Kocham tylko wolność i swoją pracę. Za nikogo nie odpowiadam, ani do nikogo nie muszę dzwonić, by posłusznie zameldować, że właśnie dotarłem na miejsce.

- A nigdy nie jest ci smutno, że nikogo to nie obchodzi?

- Oczywiście, że nie. - Otworzył jej drzwi.

- Sama dojdę.

- Lepiej cię zaniosę, miłości mojego życia. Czy szaleńczo zakochany mężczyzna pozwoliłby, byś nadwerężała swoją chorą nóżkę?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Banie nie mógł dłużej ukrywać przed samym sobą, że noszenie Marisy jest czynnością wielce przyjemną, a chwilami wręcz ekscytującą.

Natychmiast przypomniał sobie o wampirach miłości. Dlaczego jednak teraz jawiły mu się niejako krwiożercze potwory, tylko jako całkiem sympatyczne i życzliwe światu istoty?

- Wiem, co sądzisz o tradycji. - Marisa podeszła do drzwi. - Ale proszę, pamiętaj, że dla mojej rodziny tradycja jest ważna. I dla mnie zresztą też. Kiedy przekroczysz próg mojego domu, postaraj się zmienić na jakiś czas punkt widzenia. Ja tak robię od lat.

Otworzyła drzwi. W domu unosił się zapach czekolady i czosnku. Po lewej stronie w amfiladzie były jadalnia, kuchnia i salon. Trzy kobiety i mężczyzna w kuchni oraz dwóch mężczyzn w salonie zamilkli. MacKenzie został obrzucony spojrzeniem sześciu par oczu.

Z głośników płynęła aria operowa. Cisza zdawała się ciągnąć w nieskończoność, tylko śpiewaczka operowa wciąż wyła. Barrie miał ochotę zrobić zdjęcie lustrującym go postaciom. Powstrzymał się, chociaż był pewny, że to zdjęcie miałyby duszę.

- Pamiętam festiwal Kombai w Indonezji - mruknął Marisie do ucha. - Kiedy przyjechaliśmy, z krzaków wypadło sześciu wojowników uzbrojonych w strzały. Różnica jest taka, że twoja rodzina nie jest uzbrojona. Ani naga.

Marisa zerknęła na niego, podczas gdy jej najbliżsi powoli zbliżali się do nich, jak duchy w jakimś horrorze.

- Ciao - powiedziała Marisa. Barrie wyczuł drzenie w jej głosie. - Poznajcie pana MacKenzie. - Przedstawiła wszystkich krewnych po kolei.

Wujek Louie, najstarszy z mężczyzn, podszedł bliżej i spod krzaczastych brwi rzucił na Barriego uważne spojrzenie, po czym wrócił na swoje miejsce i głośno szepnął do Nonny:

- Nie wygląda mi na Włocha!

- Zawsze byłeś bystry. - Marisa poklepała go po ramieniu.

- Co się stało? Wytarzał cię w błocie? Kim on jest? Hodowcą świń? - zapytał ojciec Marisy, ubrany w jaskrawofioletową koszulę.

- Za duży, Mariso! - dodała Nonna. - Czy nie mówiłam ci, żeby nie brać za dużego?

Matka, starsza i pulchniejsza wersja Marisy, zaczęła się wachlować.

- Madonna moja, ale tu gorąco. Chyba zaraz zemdleję.

- Tylko nie płacz, mamó - poprosiła imponująco ciężarna Gina, więc mama natychmiast się rozpląkała.

Wujek Louie jeszcze raz spróbował szepnąć:

- Zobacz, gdzie ma te macki!

- Wujku Louie! - odezwał się Tino, mężczyzna w wieku Barriego, i nieśmiało się uśmiechnął do gościa. - Proszę wybaczyć, wuj czasami przesadza.

Na dzinsy miał narzucony fartuch, a w rękę trzymał tacę.

- Może oliwkę smażoną w głębokim tłuszczu? Mój własny wynalazek. Pokryte są delikatną warstwą przyrumienionej mąki. - Barrie nie miał ochoty na ten przysmak. - I nie myśl, że jestem jak baba, bo lubię piec. Nie ma we mnie nic kobiecego, prawda, Gino?

- Prawda, misiaczku.

Barrie nie śmiałyby zaprzeczyć, chociaż Tino z okrągłą twarzą i lokami nieco przypominał Shirley Tempie.

- Ona chce wyjść za hodowcę świń - stwierdził ojciec Marisy ze zdumieniem. - I on nawet nie jest Włochem!

- Już to mówiłem - mruknął wujek Ixjuie. Mama otworzyła szeroko oczy z przerażenia.

- On hoduje świnię? - Znowu się przeżegnała. - Moja matka przewróciłaby się w grobie!

- Jeszcze w nim nie leżę! - zirytowała się Nonna i wzniosła oczy ku niebu. - Salvatore, pomóż mi!

- Przynajmniej ja cię nie zawiodłam, prawda, mamó? - zapytała Gina z dramatycznym westchnieniem.

Barrie zerknął na Marisę. Na jej twarzy dostrzegł ból.

- Nie idzie mi najlepiej, prawda? - zapytała, podczas gdy hałas się wzmagił, a słowa padały w iście włoskim tempie.

- Nie gorzej niż innym.

- Mamó. - Marisa usiłowała zwrócić uwagę matki. - Mamó! Wszyscy ucichli dopiero wtedy, kiedy Gina powiedziała z jękiem:

- O rany, chyba już czas!

A potem rozpętało się piekło.

- Gina! Dziecko!

Jej mąż odstawił tacę i wybiegł. Nonna chwyciła telefon. Tino wpadł z walizką i poślizgnął się na leżącej na podłodze oliwce, wykręcając nogę w kostce. Ojciec Marisy pomógł mu dojść do drzwi. Wszyscy biegali, chwyтали różne rzeczy i wykrzykiwali. Po błyskawicznej mobilizacji wszyscy opuścili dom.

Marisa jęknęła:

- Zapomnieli o mnie! Mógłbyś zabrać mnie do szpitala?
- Przecież oni tam będą.
- Proszę!

Nigdy nie był popychadłem, więc dlaczego teraz potulnie maszerował do swego buicka z tą kobietą, która pachniała różami i cała była oblepiona błotem?

- Nie hoduje świń i nie jest Włochem. Jest Szkotem, co pewnie poznaliście już po jego uroczym... to znaczy... po jego akcencie. - Wszyscy stłoczyli się w rogu poczekalni, słuchając Marisy. - Ale to ten właściwy mężczyzna. Jestem tego pewna.

Wyjaśniła, co się stało z kostką, skąd wziął się upiorny opatrunek i zabłocona sukienka. Barrie, mokry i sponiewierany, siedział z boku, pozwalając jej samej udzielać wyjaśnień. Biedaczek. Nigdy nie zapomni przerażenia na jego twarzy, lecz jeszcze nie mogła go zwolnić z obietnicy, zbyt bowiem daleko zabrnęła w kłamstwo.

- Mariso, taki duży, taki duży - szepnęła Nonna, biorąc ją za rękę. - Czy on się zmieści?

- W co?

- W twoje drzwi, oczywiście.

Marisa odetchnęła z ulgą. Nie poradziłaby sobie z rozmową o seksie z własną babcią.

- Pewnie będzie musiał się schylić.

- Salvatore też musiał się schylać. - Babcia przytrzymała wysoko upięte włosy i podniosła wzrok. - Prawda, kochanie? Ale i tak przez kilka godzin chodziłam z trudem. - Babcia zachichotała.

Marisa szeroko otworzyła usta, ale na szczęście matka odwróciła jej uwagę.

- Mariso, jesteś pewna, że to on był przy fontannie o zachodzie słońca? Może jednak przegapiłaś właściwego mężczyznę?

- Może Barrie stanął tuż przed nim i go zasłonił - wtrąciła Nonna.

- Sama widzisz, jaki jest duży.

- Owszem, wiem, jaki jest duży - powiedziała Marisa, a w oczach Barriego pojawiły się dziwne isierki. - To znaczy wiem, że jest wielkim mężczyzną. Tak, mamo, jestem pewna. Barrie jest miłością mojego życia. Mama pokręciła głową.

- Nigdy w życiu nie byłaś niczego pewna, więc dlaczego akurat teraz tak mówisz? Czy zawiodłam cię jako matka? Uczyniłam coś strasznego i to jest moja kara! - Znowu się rozplakała.

Papa usiadł tuż przy mamie, obejmując ją.

- Co ty wyprawiasz? Usiłujesz złamać mamie serce? Barrie obserwował ich ze zdziwieniem. W sali rozległ się donośny głos Louiego.

- A gdzie twoja spódnica?

- Nie noszę spódnicy - oznajmił Barrie bez cienia urazy czy zakłopotania.

- A co?

- Kilt - wyjaśnił cierpliwie.

Marisie nagle stanął przed oczami Barrie w stroju Mela Gibsona z filmu „Waleczne serce”. Nie był to przykry widok, ale ona przecież nie przepadała za takim strojem.

- Wszystkie są w pralni - wyjaśniła, siadając między Louiem i Baniem.

- Nakładam kilt tylko w domu w Noc Robbiego Burnsa.

- Kto to? - spytała Marisa.

- Sławny szkocki poeta. Lubił poszaleć, miał czternaścioro dzieci z pięcioma różnymi kobietami.

Wujkowi Louiemu wydłużyła się mina.

- Mówisz, że masz czternaścioro dzieci z różnymi kobietami? Te twoje macki musiały dotrzeć wszędzie!

- Wcale nie! - krzyknęła Marisa. - To nie on ma czternaścioro dzieci, wujku Louie. To poeta. Zapomnij o tym, dobrze? Barrie jest fotografem - rzuciła, usiłując rozpaczliwie zmienić temat.

Kiedy Gina i Tino weszli do poczekalni, wszyscy otoczyli ich ciasnym kręgiem.

- To był fałszywy alarm - oznajmił Tino, gdy udało mu się wszystkich przekrzyczeć. - Mała jeszcze nie jest gotowa do przyjścia na świat.

- To mały i tylko żartuje - dodała Gina, masując brzuch.

- I nie myślcie, że jestem mało męski tylko dlatego, że chcę mieć córeczkę - oznajmił Tino, wciąż ubrany w fartuch.

Mama splotła ręce na brzuchu z uśmiechem dumnej rodzicielki, lecz natychmiast posmutniała, gdy spojrzała na Marisę i Barriego.

- Chyba już pójdziemy do domu - stwierdziła tonem szlachetnego, skrywanego cierpienia - i zjemy naszą uroczystą kolację.

Po deszczu wszystko wokół lśniło srebrzyście. W powrotnej drodze Marisa dostrzegła, że Barrie z uwagą obserwuje miasto.

- Czy tu mieszkają tylko Włosi? - zapytał na widok czwartej restauracji serwującej spaghetti.

- Głównie. Niektórzy mieszkańcy Cortiny pochodzą z Włoch, inni z włoskiej dzielnicy Nowego Jorku. Założyciele tej osady pragnęli, by panowała tu atmosfera włoskich miasteczek. Nie mogłabym sobie wyobrazić życia gdziekolwiek indziej. - A Barrie, sądząc po jego minie, nie mógł sobie wyobrazić życia tutaj.

Poruszyła się. Buick, mimo że bardzo już wiekowy, był w znakomitym stanie. Taki duży i solidny samochód pasował do Barriego. Jej rodzina byłaby zachwycona, gdyby ona, zamiast nowoczesnym kabrioletem, jeździła takim staroświeckim autem. Ile razy mama wsiadała z nią do samochodu, Marisa musiała szybko zmieniać radiostację, bowiem pani Cerini nie zniosłaby muzyki dyskotekowej.

- O mało nie zapomniałam o głównej zasadzie. Kiedy wchodzimy do domu, zawsze całujemy w oba policzki Normę. To oznaka szacunku dla seniorki rodu.

- Posłuchaj, czy nie wystarczy, że tak jak ci obiecałem, gram tę okropną komedię? A obcałowywania twoich krewnych nie było w kontrakcie.

- To tylko cmoknięcie w policzek.

- Ja... źle znoszę takie sytuacje.

- Wcześniej nie miałeś problemów z całowaniem. - Ani ja, dodała szybko w myśli. - Zrozum, Nonna nadstawia policzek, ty cmokasz, potem drugi policzek, cmok, i po sprawie. Taki rytuał. Jeśli odmówisz, babcia poczuje się urażona.

- Jeszcze powinienem kogoś całować? „Mnie!” jęknęła w duchu.

- Mamy chyba nie. Musisz tylko dobrze odegrać swoją rolę. Nie powinienes być przy tym zbyt miły, bo gdy już wyjedziesz, będą za tobą tęsknić, a w ich sercach musi zostać miejsce dla mojego prawdziwego ukochanego.

- Mam siedzieć i mierzyć ich wzrokiem psychopatycznego mordercy?

- Zachowuj się tak jak w szpitalu. Siedz z boku i wyglądam na zagubionego. Tak będzie idealnie.

- Z tym nie ma problemu, naprawdę gubię się w tym wszystkim.

- Moja rodzina nie jest aż taka zła.

- Po prostu źle się czuję w tłumie, zwłaszcza w tak rozgadany. Podczas naszych rodzinnych posiłków panowała cisza. Najwyżej ktoś powiedział: „Czy możesz podać mi kartofle?”.

- I to ci odpowiada?

- Do tego przywykłem. A najbardziej lubię jadać sam.

- Ależ to nudne. - Skrzyżowała ręce. - Założę się, że twoja rodzina nie obcałowywuje się przy lada okazji.

- To się po prostu nie zdarza.

Marisa uśmiechnęła się znacząco.

- Ty jednak nie masz żadnych problemów z całowaniem.

- To zupełnie coś innego. - W oczach Barrie'ego zaśniły wesołe ogniki. - Jednak obcałowywanie się po policzkach...

- Ten twój pocałunek był... bardzo miły. Odwrócił się w jej stronę.

- Jest różnica między miłym pocałunkiem i porządnym pocałunkiem. A całowałem cię tylko po to, aby coś udowodnić.

- I wcale nie udowodniłeś.

- Udowodniłem. - Był stanowczo zbyt zadowolony z siebie. - Założę się, że gdyby to był porządny pocałunek, nie wmawiałabyś mi, że niczego nie poczułaś.

- Wolę uwierzyć ci na słowo.

- Prawdziwy pocałunek jest jak seks. Angażujemy wszystkie zmysły i zatracamy się w dzikiej emocji.

- Nie chodzi tylko o całowanie - powiedziała Marisa schrypniętym głosem. - A co z trzymaniem się za ręce, romantycznymi spacerami po parku...

Barrie wysiadł z samochodu i podszedł do niej.

- To nie w moim stylu, te wszystkie...

- Nie mów tak! Dokończył z uśmiechem:

- ...Głupoty.

Dlaczego aż tak ją to złościło? Co z tego, że Barrie nie jest romantyczny? Co jej do tego? Nie był przecież jej przeznaczony...

Uniósł ją w ramionach i skierował się do drzwi, które otworzył Carlo.

- Marisa! - wrzasnęła.

- Carlo, nie drzyj się!

Jego płonące spojrzenie padło na Barriego, a muskularna pierś wyprężyła się w oburzeniu.

- Jestem Carlo Cerini, brat Marisy - oznajmił. - I muszę zamienić parę słów z siostrą.

Kiedy Carlo wziął od Barriego Marisę i zaniósł ją do swojego pokoju, znów poczuła się jak worek kartofli.

- Carlo, puść mnie! Zwariowałeś? Niemal rzucił ją na łóżko.

- Ja zwariowałem? Najpierw słyszę na stoisku, że moją siostrę wywłócił z rynku jakiś wysoki, rudy...

- Ma kasztanowe włosy. Carlo zamachał rękami.

- No dobrze, jakiś... szatyn, a w domu dowiaduję się, że, twoim zdaniem, on jest ci przeznaczony. Założę się o sto dolców, że się mylisz. - Założył ręce na piersi. - On nie jest Włochem!

- Sądzisz, że tego nie zauważyłam?

- Pójdiesz i powiesz mu, że się pomyliłaś. Nieważne, jak ci przy nim błyszczą oczy! I tak nie możesz za niego wyjść.

- Wcale mi przy nim nie... Naprawdę błyszczą mi oczy? Carlo spojrzał z rozpaczą na siostrę.

- Zapomnij o oczach. Zapomnij o nim.

- A co, straciłaś pieniądze? - Wskazała na tablicę. - Jak śmiesz przyjmować na mnie zakłady, jakbym była jakimś koniem?

- Muszę spełniać oczekiwania klientów, ale mniejsza o zakłady. Wiesz, czym jest tradycja dla naszej rodziny.

- Wiem. Dlatego zapisuję wszystkie przepisy Nonny, by je zachować dla przyszłych pokoleń.

- Nie będzie to miało znaczenia, kiedy złamiesz im serca. Rany, ten smarkacz zaczął mówić jak papa!

- Myśl sobie, co chcesz, ale on jest mi przeznaczony i koniec! I odnieś mnie natychmiast, bo powiem twojej dziewczynie, że śpisz z pluszowym żółwiem!

- To nie jest żółw. Ile razy mam ci powtarzać, że to poduszka? Zielona, włochata poduszka!

- Z głową żółwia.

Mrucząc coś pod nosem, brat wziął ją na ręce i niechętnie odniósł do



salonu.

Interesujące, pomyślał Barrie, obserwując, jak młody mężczyzna zabiera Marisę. W jadalni długi stół zastawiony był talerzami i miskami. Pachniało smakowiciej niż w jakiegokolwiek znanej mu włoskiej restauracji.

Z jadalni przechodziło się do kuchni. Na ścianach wisiały garnki i patelnie, a na blatach piętrzyły się inne kuchenne sprzęty. Kobiety napełniały miski i talerze, które Gina nosiła do pokoju, balansując nimi z wprawą. Trzej mężczyźni siedzieli przy stole i rozmawiali po włosku, z zapalem gestykulując. Wciąż popatrywali na niego, wprowadzając bez wrogości, ale tak, jakby wciąż nie mogli uwierzyć w jego obecność.

Barrie ich rozumiał. Zerknął na buicka przed domem i na wesoło oświetloną ulicę. Wyobraził sobie, że ucieka. Marisa nie wie, gdzie zamieszkał. Niestety, obiecał, że jej pomoże, a w dodatku trochę zawinił.

- Trzymaj!

Ledwo zdążył się odwrócić, Marisa znalazła się znowu w jego ramionach. Carlo wmaszerował do jadalni i włączył się do dyskusji z mężczyznami, gestami wskazując na drzwi.

- Zdaje się - zauważył Barrie - że sprawuję się całkiem dobrze. Tak jak chciałaś, nie wzbudziłem tu w nikim nadmiernej sympatii.

- To nie tak! - Marisa popatrzyła na rodzinę. - Wiem, że tobie to się wydaje szalone. Czasem mam wrażenie, że należę do dwóch światów: tego na zewnątrz i do mojej rodziny. Lecz moi krewni się nie zmieniają i ja na to nic nie poradzę. Po prostu tacy są.

- Nie musisz ich zmieniać. Naprawdę dojdzie do tragedii, gdy im oznajmisz, że zamierzasz żyć po swojemu?

- Tak - odpowiedziała z powagą.

- Czy umarliby z rozpaczy, gdybyś się zakochała nie we Włochu? Nie siebie oczywiście mam na myśli - dodał, widząc jej zaskoczone spojrzenie.

- Nie ma mowy! Poza tym ja naprawdę chcę być wierna rodzinnej tradycji i wyjść za Włocha. Chcę być bohaterką wielkiego romansu. Zrozum, w mojej rodzinie tradycja to nie kłopotliwy balast, lecz powód do dumy.

- A to, że chcesz zrobić zawodową karierę, nie należy do rodzinnej tradycji?

- No właśnie! Wiem, że gdzie indziej, to znaczy w całej reszcie świata, kobiety zakładają rodziny i robią kariery, ale nie u nas. Zresztą, u nas

dziecko otrzymuje od rodziców i najbliższych tak wiele miłości, że potem powinno odplacić im tym samym.

Barrie zrozumiał, jak ciężko jest Marisie pogodzić ze sobą dwa światy, w których przyszło jej żyć. Była nowoczesną dziewczyną, a jednocześnie chciała dopasować się do rodzinnych schematów nie z tej epoki.

- Ale i tak poprosiłaś ojca o to stanowisko - powiedział, zaskoczony tym, że w swoim głosie usłyszał dumę.

- Musiałam, ale nie okazałam, jak bardzo mi na tym zależy. Rozumiesz jednak, że gdy już poprosiłam o tę pracę, to koniecznie muszę odpowiednio wyjść za mąż. A poza tym taka była umowa.

- Umowa?

- Dostanę pracę, jeśli przedstawię tacie swego ukochanego.

- A ile razy... go... zawiodłaś?

- Dziś po raz szósty stałam przy fontannie. Tym razem jednak mi się uda. Musi! I mam wspaniałe pomysły na firmę, chociaż boję się, że papa będzie mnie ograniczać, jeśli... kiedy już dostanę tę pracę.

- A ty mu na to pozwolisz, bo jesteś grzeczną włoską córeczką. ..

- Oj, puść mnie! Ty naprawdę nic nie rozumiesz. Wprawdzie postawił ją na zdrowej nodze, lecz Marisa i tak trzymała go za ramię.

- Rozumiem aż za dobrze, bo sam przez to przeszedłem. Lecz nie dałem się złamać i postąpiłem w jedyny słuszny i skuteczny sposób: nie zgodziłem się na żadne kompromisy. Tylko w ten sposób można wygrać z zaborczą rodziną.

- Wybrałaś najłatwiejszą drogę. Kiedy dostanę posadę, udowodnię, na co mnie stać! - Z twarzy Marisy biła duma. Po chwili szepnęła konspiracyjnie:

- Umiesz dochować tajemnicy? Skończyłam studia w miejscowym college'u!

- Wiesz, że większość rodziców jest zachwycona, kiedy ich dzieci kończą studia?

- Oni chcą jak najlepiej! Naprawdę. Mam dyplom z zarządzania przedsiębiorstwem i chcę pokazać, co umiem.

- Co właściwie robi ta wasza firma?

- Powiem ci. - Skrzywiła się. - Pewnie i tak niedługo się dowiesz. - Mocniej ścisnęła go za ramię, by zachować równowagę. Znowu zapragnęła skosztować jej ust i tym razem wywołać prawdziwą reakcję tej dziewczyny.

Zdecydował, że tego dokona. Musiał, po prostu musiał, to zrobić.

- No więc...

- Zawsze masz trudności z mówieniem? Szybko zamknęła usta.

- Nie, tylko kiedy... Tak, tak, mam. Stale.

- Znowu to niezdecydowanie. Opowiedz mi o waszej firmie.

- Ale żadnego prychnania. - Pogroziła mu palcem.

- Ja prychnam?

- Owszem, prychnasz jak kocur. A moja rodzina ma firmę „Ciasteczka Amore”.

Zdołał powstrzymać się od tego, przed czym go ostrzegała.

- I co?

- Moja praprababka odkryła, że jej mąż... którego poznała na festiwalu...

- Oczywiście był Włochem - wtrącił Barrie.

- A jakżeby inaczej? - Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Miała cudownie wyraziste spojrzenie, ekscytujące i pełne tajemniczycy, nieodgadnionych treści. Co się z nim dzieje? Ta zwariowana czarnulka naprawdę działa jak młode wino...

- Widzisz tę szklaną wazę? - zapytała po chwili, wskazując na mahoniowy stół w salonie, zastawiony rodzinnymi fotografiami. Podeszli tam, a ona wyciągnęła z wazy celofanową paczuszkę.

- To nasze ciasteczka. Praprababka i jej ukochany odkryli, że łączy ich miłość do ciasteczek, i zaczęli razem je wypiekać.

- Przez co wcale twój prapradziadek nie stał się mało męski.

- Co?

- Twój szwagier w kółko to powtarza. - Roześmiał się.

- Ach! - Marisa też się uśmiechnęła. - Pewnie z niego żartowano, kiedy wziął się do pieczenia. Próbował robić typowo męskie dania...

- Na przykład klopsy?

Usiłowała powstrzymać śmiech jak wtedy, gdy patrzyła na nieudolnie ukrytą męskość Dawida.

- No dobrze - stwierdziła po chwili. - We Włoszech sprzedawali je tylko restauracjom i ciastkarniom. Kiedy papa poślubił mamę i przenieśli się tutaj, założyli fabrykę. Teraz nasze ciasteczka są sprzedawane w większości wielkich sklepów na Zachodnim Wybrzeżu.

I była z tego dumna. Obrócił w dłoni paczuszkę. Dwa okrągłe ciasteczka ułożone jedno przy drugim.

- Nazywacie je „ciasteczkami amore”, bo w każdej paczce są dwa?
- Tak, i z powodu sentencji. - Znowu mu pogroziła palcem.
- Żadnego prychnania!
- Powtórz to jeszcze parę razy, a rodzina pomyśli, że naprawdę hoduje świnie. Opowiedz mi o sentencji.
- W każdej paczuszce jest sentencja, czyli „słowny pocałunek”. - Otworzyła paczuszkę i podała mu ciasteczko. - Spróbuj.

Przez całą tę gadaninę o całowaniu zaczął wpatrywać się w jej usta, a szczególnie zaintrygował go ów niezwykle ekscytujący pieprzyk na wardze. A ona z wielką siłą odczuwała jego pełen pożądania wzrok, czym wcale zresztą nie czuła się obrażona. Barrie zawsze był opanowany i umiał zachowywać dystans, tym razem jednak jego ciało dziwnie reagowało na tę włoską donnę. Ugryzł migdałowe ciasteczko z kroplą czekolady na wierzchu.

- Niezłe.
- Niezłe? Tylko tyle możesz powiedzieć?
- Pewnie bym się nim nie otruł - uśmiechnął się szczerze.
- Tam, skąd pochodzę, mówimy w taki sposób.

Postanowiła mu uwierzyć, choć była lekko urażona. Podała Barriemu pasek różowego papieru, który był na dnie paczuszki, żeby mógł przeczytać wykaligrafowane na nim słowa: „Pocałunek przy pełni księżyca pieczętuje serce miłością”. Nie zdołał powstrzymać prychnięcia.

- Pewnie myślisz, że to...
- Nie mów tego! - Zrobił groźną minę, jak przedtem ona. Marisa spojrzała na niego mrużąc powieki.
- ...głupoty.
- Tak. - Wsadził do ust resztę ciastka. - Ale to smakuje niezłe.

Kiedy Barrie podróżował po Włoszech, odkrył, że tubylcy są gościnni i serdeczni, chociaż hałaśliwi i zbyt skorzy do okazywania uczuć. Rodzina Marisy była taka sama, z tym, że MacKenzie znalazł się pod specjalnym nadzorem, jako że zamierzał ożenić się z panną Cerini. Mężczyźni wciąż rzucali mu ukradkowe spojrzenia, natomiast kobiety sterczały nad jego talerzem, wciąż dokładając mu nowe porcje.

Najpierw crostini eon funghi, potem zupa chlebowa z kartoflami, trzy rodzaje pieczywa, do każdego dania inne wino, makaron z chińską kapustą i pomidorami, pieczony kurczak nadziewany oliwkami, faszerowana

papryka... Pekał z przejedzenia! A w dodatku nienawidził papryki...

- Mangel Jedz! - Ninalee, matka Marisy, nałożyła mu kolejną paprykę.

- Lepiej jedz - szepnęła Marisa. - Dla włoskiej kucharki to obelga, jeśli nie zjesz wszystkiego z talerza.

Dziewczyna umyła się już i nałożyła sukienkę w kwiatki, którą pożyczyła od Giny.

- Całuj w policzek, zmiataj wszystko z talerza... Przydałby się spis zasad

- mruknął zgryźliwie i zabrał się do jedzenia. Musiał jednak przyznać, że potrawy były naprawdę wspaniałe w smaku.

Rozmowa przy stole toczyła się wartko i bez żadnego logicznego porządku. Każdy się wtrącał, kiedy chciał, a wątki płątały się i ginęły, natychmiast zastępowane przez nowe.

- Kobieta z mojej szkoły rodzenia chce dodać swoje łożysko do gulaszu - oznajmiła Gina, szczypiąc Tina w policzek. - Mówi, że to na szczęście.

- Ohyda! - Marisa zmarszczyła nos.

- Mógłbym wymyślić dla niej specjalny przepis - stwierdził Tino.

- Ohyda!

- Kiedy schodziłem ze stoiska, sprzedaliśmy już tysiąc ciastek - zawiadomił Carlo.

- Na czas festiwalu zamykamy firmę - powiedziała Barrie-mu Marisa - ale wszyscy po kolei pracujemy na stoisku.

- Przygotowałem na deser pikle w czekoladzie - oznajmił Tino, obdarzając żonę czułym pocałunkiem. - Gina je lubi.

- Ohyda! - skrzywiła się Marisa. Mama zerknęła na nią spod zmrużonych powiek.

- Umalowałaś oczy?

- A jeśli przewróci się w łóżku na bok i zgniecie cię? - Nonna pochyliła się w stronę do Marisy. - Jest bardzo duży.

Barriemu zrobiło się przykro na widok miny Tina, gdy nikt oprócz Giny nie tknął pikli w czekoladzie.

- Jestem idealną żoną, prawda, misiaczku? - zapytała Gina. - Zawsze jem przygotowane przez ciebie przysmaki.

Zauważył, że małżonkowie nieustannie się dotykają. Ciekawe, jak w ogóle mają czas jeść między pocałunkami, dotknięciami i uściskami. Nawet Nonna dotykała Louiego, chociaż były to raczej szturchnięcia, a Louie na nią warczał.

Kiedy podano ciasto kawowe, Ninalee wzięła notes z mahoniowego stolika. Marisa zerknęła na Barriego i szybko odwróciła wzrok. Ogarnęły go złe przeczucia.

- Żadnego prychnania! - szepnęła, szturchając go w bok. Podobał mu się kształt jej ust, zwłaszcza gdy się uśmiechały.

Miękkie dłonie, ładnie zaokrąglone paznokcie, a nie wstrętne lakierowane szpony. Potarł jej dłoń kciukiem.

Widok ich złączonych rąk zaskoczył go. Co on właściwie robi? No tak, wampir miłości odebrał mu już część jego męskiej mocy... Towarzystwo tych zwariowanych romantyków naprawdę zaczęło mieszać mu w głowie. Puścił dłoń Marisy i podniósł wzrok.

Wszyscy przy stole gapili się na ich.

Każdy miał inną minę. Ulizane włosy papy Ceriniego zaczęły się znowu podnosić i ojciec Marisy nie miał zadowolonej miny, gdy sięgał po dłoń żony. Ninalee wachlowała się. Carlo skrzywił groźnie twarz o wytwornych rysach. Gina przechyliła głowę, robiąc coś z włosami. Nonna, o dziwo, uśmiechała się, a Louie przechylał się nad talerzem, by lepiej widzieć. Marisa też podniosła oczy i nerwowo zachichotała.

- Miłość, śmiech i pocałunki to największe skarby życia. Na moment zapanowała cisza. Potem wszyscy ożywili się, kiwając głowami w wyrazie aprobaty. Ninalee zapisała sentencję.

- Miłość i czekolada są dobre dla ducha - oznajmiła Nonna.

- Miłość i suszone śliwki są dobre dla ciała - stwierdził Louie.

Wszyscy zaczęli kiwać głowami, po czym nagle przestali.

- Eee... Tak, to dobre, wujku Louie - oświadczyła Marisa. Znowu zaczęli przerzucać się romantycznymi powiedzeniami.

- Marisa - odezwał się Barrie. Podobał mu się dźwięk tego imienia.

- Miłość to tort, a pocałunki to lukier. - Odwróciła się do niego. - Tak?

- Co wy właściwie robicie?

Reszta klanu nadal wykrzykiwała lukrowane zdanka.

- To „słowne pocałunki”, które dodaje się do ciasteczek - wyjaśniła Marisa. Złapał się na tym, że znów pożera wzrokiem jej usta, a jej... jakby to się podobało. - To tradycja. Zawsze po kolacji wspólnie je wymyślamy.

Przez kilka minut przysłuchiwał się paplaninie Cerinich. Oni naprawdę wierzyli w te wszystkie głupoty! On, absolutnie nie wierzący w romanse, czuł się tak, jakby wpadł do sklepu z wa-lentyńkowymi prezentami.

- Przypomnij mi, żebym udusił Portera.
- Pocałunki są dla życia tym, czym wino dla obiadu. Kogo?
- Faceta, który miał opisać wasz festiwal, ale się zakochał, więc musiałem go zastąpić.

Ninalee przerwała zapisywanie miłosnych maksym i spojrzała na gościa.

- Chcesz coś dodać, Barrie?
- Założę się o dziesięć dolców, że nic dobrego nie wymyśli - odezwał się Carlo.

- Nie! - odpowiedziała za niego Marisa, po czym uśmiechnęła się nieśmiało, gdy wszyscy na nią popatrzyli. - Nie zawstydzajcie go, on jest romantyczny tylko... we dwoje, a nie w tłumie.

- Co ty właściwie robisz? - zapytał Barriego Lamberto, ojciec Marisy. - Oczywiście poza hodowaniem świń?

- Pracuje dla pisma, podróżuje i robi zdjęcia - wypaliła Marisa. MacKenzie nie był pewien, czy się przesłyszał, czy też w jej głosie naprawdę pobrzmiwała duma... A przecież nawet rodzice lekceważyli jego sukcesy. - Oglądał gołych dzikusów, którzy usiłowali go zabić. Czy to nie wspaniałe?

- Czarujące - stwierdziła Ninalee z wymuszonym uśmiechem.

- A gdzie mieszkasz? - zapytał Carlo.

- W Nowym Jorku.

- Czyli dużo podróżujesz? - wtrąciła Gina.

- Tak, sporo.

Miał wrażenie, że cała rodzina zwiera szyki, bombardując go pytaniami o pracę, "mieszkanie, ambicje. Nie zdziwił się, kiedy Carlo założył ręce na piersi i zapytał:

- Jakie masz zamiary wobec mojej siostry?

Zobaczył, jak Marisa sztywnieje, ale zanim zdążyła się odezwać, oznajmił głośno:

- Zamierzam się z nią ożenić.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Uważaj na rękę!

- Oj, przepraszani!

To nie był najlepszy pomysł. Barrie już następnego ranka wynajął ciemnię niedaleko Cortiny, a Marisa z czystej uprzejmości zaproponowała, że będzie jego pilotem. Teraz siedzieli zamknięci w maleńkim pomieszczeniu, a Barrie wciąż niechcący ocierał się o dziewczynę. Pomysł więc wprawdzie nie był najlepszy, lecz Marisa szybko o tym zapomniała.

Obserwowała prawdziwego artystę w akcji. Z włosami zaczesanymi do tyłu, w niebieskiej koszuli, przy której jego oczy lśniły jak szafiry, w białych dżinsach obciskających uda, MacKenzie wyglądał naprawdę wspaniale. Marisa starała się zignorować prąd, który co i rusz przebiegał przez jej ciało.

Zafascynowana patrzyła, jak powstają próbne odbitki. Potem z pomocą lupy - czując się niemal jak zawodowiec - pomogła mu wybrać zdjęcia, na których uchwyceni zostali kandydaci na jej ukochanego.

- Myślałam, że robisz kolorowe zdjęcia - powiedziała.

- Zazwyczaj tak, ale uznałem, że skoro festiwal powtarza się od pokoleń, ciekawiej będzie zrobić czarno-białe i dodać trochę sepii, żeby fotografie wyglądały na stare.

Patrzyła, jak na białych kartonikach pojawia się obraz. Kiedy już sporo zdjęć pływało w wanience, Barrie włączył światło i klamerkami przypiął fotografie do sznurka.

- A więc po moim wyjeździe rodzice nie zamknęli cię na strychu, abyś oprzytomniała?

Miał wspaniałe dłonie, silne i kształtne. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że coś powiedział.

- Powiesili mnie za nogi i obrzucili makaronem. Chciałam wszystko wygadać, ale powstrzymałam się. Kiedyś mi podziękują, że ich oszukałam.

- Może opiszą swoją wdzięczność w tej waszej gazecie.

- Hmm. - Marisa zmarszczyła nos. - Ale ty przesadziłaś. Dlaczego plotłeś mojej rodzinie, że wreszcie spotkałeś kobietę swoich marzeń, że jestem taka niezwykła i... piękna? I że chcesz się ze mną jak najprędzej ożenić?

- Nauczyłem się tego od Portera. Słuchaj, przecież taki miałem być, bo o



to ponoć chodzi w tej waszej tradycji. Sama mi to mówiłaś. Faceta miłość trafia prosto w serce, bla bla bla, i żyją długo i szczęśliwie.

- Tak, ale ty nie jesteś tym... facetem! A gdybyś nawet był, to nigdy nie powiedziałbyś nic aż tak romantycznego.

- Gdybym był twoim facetem, może dałbym się ponieść emocjom i powiedziałbym, że jesteś piękna, ale tych wszystkich innych...

- Nie mów tego!

- ...głupot na pewno nie.

- Uważasz, że jestem piękna? - zapytała, gdy dotarły do niej jego słowa.

- Dla kogoś, kogo pociągają ogniste włoskie dziewczyny, na pewno tak. - Wyciągnął z kąpieli kolejne zdjęcie.

Sprawiła, czy ma otwarte usta. Nie miała. To dobrze. Ale z drugiej strony czy to, co powiedział Barrie ojej urodzie, można uznać za komplement?

- Hej, to ja! - Przysunęła się bliżej. - Ale jak to...

- To nie ty.

Spróbowała obejrzeć zdjęcie, lecz powiesił je tak, by nie mogła go schwycić.

- To na pewno ja! Jeszcze nie jestem ubłocona i jeszcze... ciebie nie znam.

- To ktoś podobny. - Wyjął ostatnie zdjęcie i powiesił je na sznurku. Poczula wzruszenie. A więc fotografował ją!

- Co o nich myślisz? - zapytał, gdy przyglądała się fotografiom wiszącym na sznurku.

- Bardzo ładne.

- Ładne, tak?

Ach, więc o to mu chodziło...

- Są cudowne, naprawdę! Wspaniała kompozycja, cudownie wygrane światło. A jaka technika!

Lecz on nie wyglądał na zadowolonego.

- Technicznie nie są złe, to prawda. Jednak... - Zerknął na Marisę. - Czy czegoś im nie brak?

Przyjrzała im się znowu, usiłując zgadnąć, co Barrie chciałby usłyszeć.

- Może im czegoś brakuje... Nie jestem zawodowcem, pamiętaj o tym, lecz...

- No, dalej! - popędzał ją.

- Nie dostrzegam w nich żadnych uczuć. Czy to ma sens?

Stanął obok niej i spojrzał na zdjęcie, któremu się przyglądała. Była na tej fotografii Saralin, jak co roku rzucająca z balkonu naszyjnik z kwiatów. Barrie stał tak blisko, że jego ramię dotykało ramienia Marisy, a kiedy odwrócił się w jej stronę, ich twarze dzieliły zaledwie centymetry.

- Co rozumiesz przez uczucie? - zapytał.

- No... - Stał zdecydowanie zbyt blisko, by mogła się zastanowić nad odpowiedzią, lecz w żaden sposób nie potrafiła ruszyć się z miejsca.

- Nie ma w nich napiętności, żadnego związku z fotografowanymi osobami ani z budynkami. Jakby nic ciebie z tymi ludźmi i miejscami nie łączyło.

- Czy można powiedzieć, że tym zdjęciom brak duszy?

- Tak, chyba tak. A dlaczego pytasz?

- Nic, nic. Po prostu chciałem usłyszeć opinię laika.

- Aha. - Zrozumiała go aż za dobrze. - Chcesz o tym pogadać?

- Nie ma o czym. Czas wracać do roboty.

Przeszedł obok niej i wyłączył światło. Jego biodro otarło się o jej pośladki.

- Hej! - zaprotestowała, ponieważ tak wypadło, bo przecież nie miała nic przeciwko temu.

- Przepraszam. Jest tu tyle miejsca, co w szafie. - W jego głosie nie usłyszała skruchy.

Barrie zabrał się do pracy, a po jakimś czasie powiedział:

- Zaczynamy od nowa. - I znowu zapalił światło.

Kiedy otarł się o nią udami, rzuciła mu urażone spojrzenie. Wzruszył ramionami i przyjrzał się zdjęciu.

- Znowu gasimy światło. - Jeszcze raz ogarnęło ich pomarańczowe światło, a on się o nią otarł w drodze do powiększalnika.

- To wspaniale być fotografem. Nie tylko robisz zdjęcia, ale patrzysz, jak utrwalone obrazy ożywają. To jak czary.

- Dobrze to ujęłaś. Jest w tym coś z magii. Kiedy spojrzała mu w oczy, gardło jej się ścisnęło.

- Podoba mi się zdjęcie, które mi zrobiłeś. A musisz wiedzieć, że niewiele moich zdjęć mi się podoba.

Najpierw znów chciał skłamać, że to nie jej zdjęcie, lecz nagle uśmiechnął się łobuzersko.

- Zobaczyłem ładną dziewczynę, która figlarnie wpatrywała się w gołego Dawida, więc nie potrafiłem się oprzeć. Skąd miałem wiedzieć, że za parę minut ta ślicznotka będzie na mnie leżała?

Ładna dziewczyna, ślicznotka... mogłaby tego słuchać bez końca. Nikt jej tak jeszcze nie nazwał i pewnie nikt już nie nazwie.

- Wcale nie miałam nieprzyzwoitych myśli!

- Ależ miałaś, miałaś. Kiedy myślisz o czymś, o czym nie powinnaś, świecą ci się oczy. - Przesunął palcem po jej czole, do nosa, a potem przez usta i podbródek. - Tak jak teraz.

Wcale nie myślała o czymś, o czym nie powinna, a już na pewno nie o tym, że ma ochotę znowu go pocałować.

- Nie mówię nieprzyzwoitych myśli. Jestem skromną, staromodną panną.

- To co ty robiłaś przez te wszystkie lata, czekając na właściwego mężczyznę?

- Byłam na kilku randkach.

- A co by się stało, gdybyś zakochała się w którymś z tych facetów?

Marisa roześmiała się.

- Nie widziałeś mnie na randce. Nie mogę uwierzyć, że ci to mówię! Nikomu jeszcze o tym nie wspominałam. Głupio się czuję na randkach. Nie wiem, co powiedzieć i jak się zachować.

- Ty? Trudno w to uwierzyć. Przy mnie zachowywałaś się całkiem normalnie.

- Bo nie jesteś właściwym facetem.

- Może i masz rację - westchnął i przysunął się bliżej - ale kiedy cię wczoraj całowałem...

- To ja w ogóle nie reagowałam. - Wstała ze stolka.

- To ty reagowałaś wprost cudownie.

- Wcale nie!

Położył dłonie na jej ramionach i popatrzył na nią surowo.

- Przestań mnie ranić.

- Nie tknęłam cię od czasu... - Zorientowała się, że ma otwarte usta i zamknęła je. - Czyżbyś zamierzał... coś teraz zrobić?

Starła się, jak mogła, by jej mina mówiła: „Nie całuj mnie, bo i tak będę sztywna jak słup”, najwyraźniej jednak Barrie i tak wiedział swoje. Przeniósł dłonie z jej ramion na włosy, odchylił jej głowę i pocałował. Serce

Marisy wprost oszalało. A kiedy pogłębił pocałunek, jej usta rozchyliły się i była pewna, że zaraz ugną się pod nią kolana.

Przycisnął ją do siebie. Wiedziała, że Barrie coś chciał udowodnić. Tylko co? No tak, nie powinna oddawać mu pocałunków i być jak słup... Dlaczego więc wtula się w niego, głaszcząc go po włosach i przechyla głowę, by łatwiej im się całowało?

Mamma mia, ależ on umiał całować!

Nagle w maleńkim pomieszczeniu zrobiło się za gorąco, prawie nie mogła oddychać. Odważyła się uchylić powieki. Jego oczy były zamknięte, a spoglądanie na tego Szkota, gdy ją całował, było najbardziej zajmującą rzeczą na świecie.

Wreszcie nastąpił koniec pocałunku. Marisa oparła się o blat. Wiedziała, że powinna natychmiast odzyskać rozum!

- Już mi się zdarzały takie pocałunki - oznajmiła, omijając Barriego wzrokiem. - To nic wielkiego. Przyznaję, był miły, ale patrz, nie wywołał we mnie żadnej reakcji. Jestem całkowicie spokojna, chłodna i opanowana.

A potem zemdląca.

Na szczęście zdążył ją w porę chwycić. Kilka sekund później ocknęła się w jego ramionach.

- Wszystko w porządku? - zapytał, a ona nie mogła powstrzymać leniwego uśmiechu.

Powoli wracała jej przytomność umysłu i pojęła, co się stało. Zemdląca po tym, jak ten facet ją pocałował!

- To chyba od smrodu tych chemikaliów - stwierdziła, wachlując rozpaloną twarz.

- Na pewno - przyznał Barrie, a w jego oczach pojawił się wesoły błysk. - Lepiej stąd wyjdźmy.

Godzinę później jechali na południe. Mieli ze sobą zdjęcia, kanapki i napoje. Barrie zerknął na Marisę, która przez cały czas milczała jak zakłeta.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytał. Omijała go wzrokiem, odkąd posadził ją na kanapie w poczekalni i sam wywołał resztę zdjęć. Bez niej nie było nawet w połowie tak zabawnie, ale za to szybciej uporał się z pracą.

Skinęła tylko głową, nie odrywając oczu od drogi.

- To na pewno od zapachu chemikaliów. Nie jesteś przyzwyczajona, a siedziałas w małym pomieszczeniu bez wentylacji.

Wolałby myśleć, że zemdląca przez pocałunek. Następnym razem

spróbuje pocałować ją w miejscu dobrze przewietrzonym i wtedy prawda wyjdzie na jaw.

Marisa rzuciła mu przelotny uśmiech pełen wdzięczności.

- A ile razy ty zemdlaleś?

- Raz. Naprawdę - dodał, widząc jej pełne niedowierzania spojrzenie. - Kiedy po raz pierwszy znalazłem się w ciemni, natychmiast zemdląłem. Co gorsza, na oczach instruktora i kolegów. Miesiącami się ze mnie śmiali.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - W nagrodę za kłamstwo otrzymał jej radosny uśmiech.

Droga biegła wzdłuż wybrzeża. Po jednej stronie widniał ocean, po drugiej liczne małe miasteczka.

- Tu jeszcze trwa epoka hippisów. Spójrz na tego faceta na pomarańczowym rowerze. - Wskazał mężczyznę z długimi włosami i z brodą, ubranego w luźne wzorzyste spodnie. - Chyba nic się tu nie zmieniło od lat sześćdziesiątych.

- I miło pomyśleć, że pewnie nic sienie zmieni przez kolejne czterdzieści lat — stwierdziła. - Każda firma działająca w tej okolicy musi składać raporty dotyczące należytej ochrony środowiska. Nie wolno tu budować wysokich budynków, bo psują widok. O, tam jest miejsce na piknikowanie!

Barrie zaparkował. Jednocześnie sięgnęli po torbę kanapek i ich palce się splotły, lecz żadne nie cofnęło dłoni.

- Ja wezmę kanapki, a ty wezmiesz mnie... - odezwała się w końcu Marisa.

- Jasne. - Wsiadł z buicka.

Dzień był ciepły, a od oceanu wiał wiaterek.

Marisa otworzyła drzwi auta i usiłowała wysunąć chorą nogę. Wiatr uniósł jej krótką czerwoną spódniczkę, odsłaniając kawałek uda.

- Problem polega na tym - oznajmił, odchrząkując - że zdecydowanie za często się dotykamy.

- Problem? A tak, to poważny problem.

- Nie wiem jednak, jak go uniknąć.

- Sytuacja bez wyjścia?

Gdy wziął Marisę na ręce, jej spódniczka uniosła się do połowy ud.

- Jak możesz nakładać takie krótkie kiecki, gdy ja muszę nosić cię na rękach?

Zdziwiła ją jego irytacja.

- Przy nakładaniu spodni musiałabym rozciąć nogawkę, a spódnica jest idealna.

- A musiałaś włożyć aż tak krótką? Jak na staromodną pannę, ubierasz się dość wyzywająco.

Zarzuciła mu ręce na szyję, więc jej twarz znalazła się zdecydowanie za blisko.

- Nigdy nie słyszałam, aby facetom nie podobały się krótkie spódniczki.

- No, ja... - A właściwie to na co on się skarżył? Zresztą za kilka dni nigdy już nie zobaczy ani jej, ani jej nóg. - A może ja jestem staroświeckim facetem?

- Ach, tak? - Obciągnęła spódniczkę o kilka centymetrów.

- Zrozum, to nie jest mój codzienny, domowy strój.

- To ty masz dwie szafy pełne ubrań, jedną z ciuchami, w których pokazujesz się rodzinie, a drugą ze strojami na inne okazje?

Posadził ją na ławce. Jak on to wszystko wytrzyma?

- Taka jest prawda. Tak ubieram się, gdy idę do dyskoteki. Oczywiście nie w Cortinie, bo rodzice natychmiast by się o wszystkim dowiedzieli. Uwierz albo nie, ale mam przyjaciół ze studiów, którzy wcale nie są Włochami i nic nie wiedzą o tej całej tradycji z amore. Uważają mnie za zwyczajną, nowoczesną dziewczynę. - Rozłożyła napoje i kanapki na stole.

- Nie wiem, co by sobie pomyśleli, gdyby ujrzeli mnie w roli panny z dobrego włoskiego domu.

- Wiesz, że taki przypadek ma specjalną nazwę?

- Tak?

- Rozdwojenie osobowości.

- Nie, nie chcę tego słyszeć!

- Jaka jest prawdziwa Marisa? Naprawdę jesteś beznadziejną romantyczką?

- Jestem. - Sięgnęła po torebkę i wyjęła powieść o miłości.

- Gdy tylko mam chwilę czasu, czytam takie książki. A w domu mam ogromną kolekcję romantycznych filmów i wszystkie dialogi z nich znam na pamięć.

Tym razem chyba jednak przesadziła w opowieściach o sobie. Barrie musiał pomyśleć podobnie, bo chwycił książkę, zanim Marisa zdążyła schować ją do torebki.

- Oddawaj!

Uniósł powieść wysoko nad głową i trzymał tam aż do chwili, gdy Marisa przestała walczyć o jej odzyskanie. Potem otworzył książkę i zaczął czytać: „Przycisnął ją do ściany, mamrocząc jej imię. Ona też dała się ponieść chwili. Jej głowa ekstazy odchyliła się w tył, gdy całował jej szyję. Potem wyjął nóż i przesunął ostrzem po gardle Mirandy. Krew bluznęła szeroką strugą, a on, pijąc czerwony płyn, z dzikim uśmiechem patrzył, jak dziewczyna kona w jego ramionach. Wreszcie poczuł smak ostatecznej rozkoszy”.

Barrie spojrział na okładkę, przedstawiającą czułą parę kochanków, i przeczytał: „Słodki zew miłości”, a następnie otworzył kartę tytułową, gdzie widniał napis: „Żądza krwi”.

Twarz Marisy stała się purpurowa.

- Chyba w drukarni pomylili okładki.

Niestety, bardziej szczegółowe badanie ujawniło, że okładka miłosnej powieści za pomocą taśmy została przyklejona do egzemplarza thrillera.

- Czy kobiety zwykle nie ukrywają swojego zamiłowania do lektury romansów?

- A niby dlaczego? Ja jestem dumna, że je czytam.

- Przecież to nie jest romans!

Wyrwała mu książkę i wepchnęła ją do torebki.

- No dobrze, lubię dreszczowce. Krew i morderstwa nie są wprawdzie zbyt romantyczne, ale... - Ciężko westchnęła. - Ty nic nie rozumiesz. Nie robię nic złego, tylko trochę udaję, by nie ranić tych, którzy mnie kochają i pragną mieć idealną, romantyczną córkę. Ale udaję tylko trochę, bo ja jestem romantyczką! Uwielbiam łzawe filmy i koronki, i romantyczne tradycje, i chcę mieć wielki, uroczysty ślub...

- Kogo ty usiłujesz przekonać? Mnie czy siebie? Zastanowiła się.

- Siebie. To znaczy ciebie. Ja wiem, że jestem romantyczką. Żyję tym, marzę o tym i jestem już gotowa znaleźć mężczyznę, który został mi już w niebie przeznaczony...

Spojrzeli na siebie i wykrzyknęli jednocześnie:

- Zapomnieliśmy zdjęć!

Barrie zerwał się pośpiesznie, by je przynieść. Przecież to było celem tej wyprawy, a nie rozkoszowanie się wspaniałą pogodą, cudownym pejzażem i swoim towarzystwem. Oraz pławieniem się w tej dziwnej, przesyconej oczekiwaniem aurze, która otaczała ich zawsze, gdy tylko byli obok siebie.

Postawił pudełko na stole.

- Najpierw coś zjedzmy, a potem poszukamy twojego wyśnionego mężczyzny.

Gdy już zjedli, Marisa oznajmiła:

- Nawiasem mówiąc, nie mam na sobie bielizny. Barrie zakrztusił się napojem.

- Chodzi o to... - dodała pośpiesznie, gdy uświadomiła sobie, jak to zabrzmiało - że pod spódnicą mam dół od kostiumu kąpielowego. Przeszkadzało ci, że mam krótką spódniczkę, gdy mnie tak nosisz, więc chciałam cię zapewnić, że nikt nie widzi mojej bielizny. O, widzisz? - Uniosła spódniczkę, by pokazać mu różowy kostium.

Tym razem to on zapomniał zamknąć usta.

- Obciągnij tę spódnicę, zanim... - odchrząknął i odwrócił wzrok. - Zanim ktoś pomyśli, że pokazujesz mi majteczki.

Wygładziła materiał i wzruszyła ramionami.

- Jesteśmy w Kalifornii. Nikogo to nie obchodzi. Przyjemnie było widzieć, jak Barrie się zmieszał. Tak jej się to podobało, że nie zauważyła, kiedy rozłożył na stole stosik zdjęć.

- Proszę - oświadczył. - Znajdź sobie tego amore i jemu pokazuj bieliznę.

- Nie jesteś w dobrym humorze. - Zaczęła grzebać w zdjęciach. - Myślałam, że też zależy ci, bym go znalazła, bo wtedy wreszcie się mnie pozbędziesz.

- Bo tak jest. Przecież mam zamiar tu pracować. A jeśli mam porządnie opisać ten „najbardziej romantyczny” festiwal, to muszę wrócić i obejrzeć konkurs pocałunków.

- Zgłosimy się? - zażartowała, pewna, że wygraliby ów konkurs bez trudu.

- Żebyś znowu zemdląła? Lepiej nie.

- Zmyśliłeś całą tę historię o swoim omdleniu, prawda?

- Nieprawda. Walnąłem głową o kant stołu i miałem wielkiego siniaka. No, oglądaj.

Była pewna, że zemdląła przez chemikalia, a nie przez wspaniałą, gorący pocałunek, ale to ładnie z jego strony, że nie upierał się przy drugiej możliwości.

- O, ten jest niezły - stwierdziła. Barrie ledwo spojrział na zdjęcie.

- Ma wielki nos.



- Jakbyś wcześniej nie zauważył, że ja też nie mam małego noska.

- Wcale nie - zaprzeczył natychmiast.

Potem spostrzegła, że patrzył na jej zdjęcie zrobione zaraz po tym, jak złapała kwiaty. Znowu ogarnęło ją przyjemne ciepło na myśl, że zrobił jej fotografię, wcale jej nie znając.

- A właściwie dlaczego robiłeś mi zdjęcia?

- Kiedy cię tam zobaczyłem, wiedziałem, że muszę je zrobić. - Wyciągnął fotografię, przedstawiającą Marisę przy fontannie. - A to pójdzie na okładkę.

- O, nie! Nie waż się dać na okładkę zdjęcia, na którym gapię się na... nogi Dawida.

- Wcale nie na nogi i dobrze o tym wiesz.

- Nieprawda! - Niestety, zdradził ją rumieniec. - No dobrze, to prawda. Jesteś zadowolony?

Przestał się z nią drażnić. Zamiast tego zapatrzył się na oba zdjęcia.

- Beznadziejne, co? - spytała Marisa. - Jestem zupełnie nefotogeniczna. - Ponieważ Barrie nadal nie odpowiadał, dodała: - Muszą być gorsze, niż myślałam.

- Różnią się od reszty - powiedział w końcu. - Usiłuję dojść, dlaczego.

- Może dlatego, że znasz modelkę?

- Jest to jakieś wytłumaczenie. - Odłożył zdjęcia na bok. - No, dobra, a teraz poszukajmy twojego faceta.

- Nie podglądaj! - ostrzegła Marisa, zsuwając spódniczkę i rzucając ją na tylne siedzenie. Wyciągnęła z torby dłuższą spódnicę i szybko ją włożyła.

- Przecież i tak już widziałem twoje majteczki - zaprotestował, ale posłusznie odwrócił głowę.

- To nie majteczki, tylko kostium, a zresztą, to nieważne. Przyglądanie się, gdy ktoś się przebiera, jest naganne...

- Mówisz tak, a wcześniej urządziłaś mi niezły pokaz?

- To nie był żaden pokaz. Usiłowałam coś udowodnić.

- Co? Że masz świetne nogi?

- Akurat! No dobrze, możesz już patrzeć. Mama padłaby trupem, widząc mnie w tamtej spódnicy. - Zapięła dwa guziki bluzki. - I nie ma nic złego w tym, że ma się drugą osobowość na użytek najbliższych.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Mam ochotę powiedzieć im o drugiej twarzy ich córki.

- Lepiej nie. Ty musisz tylko udawać zakochanego we mnie, dopóki nie znajdę mojego prawdziwego ukochanego.

- Naprawdę uważasz, że to któryś z nich? - zapytał, wskazując na cztery zdjęcia leżące obok.

- Tak. Kiedy go spotkam, po prostu go rozpoznam. Ten mężczyzna nie będzie mnie przewracał w błoto ani nabijał się z włoskich tradycji rodzinnych.

- I kto to mówi? Jesteś zwyczajną oszustką. Udajesz, że jesteś taka, jak chcą twoi krewni, a potajemnie zachowujesz się tak, jak sama chcesz. Czytasz horrory i udajesz, że to romanse. Udajesz, że postępujesz zgodnie z tą waszą tradycją, tylko po to, żeby dostać stanowisko.

- Odwołaj to! - zażądała. - Nikogo nie oszukuję. Po prostu... dostosowuję się. A trzymam się tradycji, bo tak chcę i jestem beznadziejną romantyczką.

Stał z założonymi rękami. W złotych promieniach słońca przypominał rzymskiego boga. Wyraźnie zarysowane kości policzkowe pogłębiały to wrażenie, tak samo jak kręcone, sięgające ramion włosy, którymi poruszał wietrzyk.

A ona znów spostrzegła, że ma szeroko otwarte usta.

- Lepiej już chodźmy - powiedziała cicho. - Muszę znaleźć moje przeznaczenie.

Barrie pochylił się i wziął ją na rękę.

Przeniósł ją wąskimi uliczkami na rynek, gdzie kłębił się tłum, pełno było śmiechu i muzyki. Kilka znajomych pań zamarło na widok nieznajomego atlety niosącego Marisę, lecz dziewczyna tylko wzruszyła ramionami. Była pewna, że na ich twarzach dostrzegła odrobinę zazdrości. A zresztą, ile kobiet miało przystojnego narzeczonego, który nosił je na rękach?

Żachnęła się. Ona też nie miała przystojnego narzeczonego. Był tylko wypożyczony. Przebijał się teraz przez tłum w stronę kawiarenki. Był taki silny i zaradny. Musiała przyznać, że miała szczęście. Jeśli przeznaczenie chciało, by ktoś na nią wpadł, to dobrze, że akurat zrobił to ten Szkot. Ilu mężczyzn uczyniłoby dla niej tyle, co on?

- Tam jest kolejka do konkursu pocałunków - oznajmiła Marisa. - O rany, to Carlo!

Stał w kolejce ze swoją aktualną dziewczyną, Rosą Carlotti, dorodną, długowłosą panną z sąsiedztwa. Carlo nie musiał zachowywać się zgodnie z

tradycją, bo i bez tego mógłby zostać szefem działu sprzedaży, gdyby tylko chciał. Marisa nie uważała jednak tego za niesprawiedliwość losu, bo tradycja to tradycja.

Carlo obserwował pozostałych zawodników, najwyraźniej przekonany, że wygraną ma w kieszeni. Marisa odwróciła się, gdy skierował wzrok w ich stronę. Nie miała ochoty na kolejne kazanie.

Powinna była wiedzieć, że go nie uniknie. Ludzie pokazywali ich palcami, ktoś nawet zrobił im zdjęcie.

- Jak romantycznie!

- Dlaczego ty mnie tak nie nosisz, Aldo?

Zerknęła na Barriego, który albo udawał olimpijski spokój, albo naprawdę wszystko ignorował. Kiedy znów spojrzała na Carla, patrzył na nią groźnie. Barrie posadził ją na krzesło w pobliżu sceny, na której odbywał się konkurs.

- Dziękuję.

Coś mruknął i usiadł po drugiej stronie maleńkiego stolika. Zamówili dwie butelki wody mineralnej.

- Nie bierzecie udziału w konkursie? - zapytał Carlo, z zadowoloną miną stając obok nich.

- Nie - odpowiedziała, zanim Barrie zdążył otworzyć usta.

- Po tej wczorajszej gadaninie nie chcecie podzielić się ze światem swoją miłością? Założę się, że z nami nie wygracie.

- Wybacz, stary, ale odpuścimy sobie - stwierdził Barrie.

- I tak wygrywasz co roku - dodała Marisa. - A popisywanie się pocałunkami jest głupie.

- Mówię poważnie. Założę się o pięćdziesiąt dolców, że nie pobijecie mnie i Rosy. - Kiedy Carlo zerknął na swoją dziewczynę, ta posłała mu całusa i zakolysała biodrami. Marisa nawet w swoje „nierodzinne” dni nie odważyłaby się nałożyć czarnych obcisłych spodni, jakie miała na sobie Rosa.

- O nic się z nim nie zakładaj - ostrzegła Barriego. - To nałogowiec. Kiedy był mały, siedział przy oknie i zakładał się z kolegami o kolor następnego samochodu, jaki przejedzie ulicą. I jest wściekły, bo przegrał zakład o mnie.

- Zakład jeszcze nie jest rozstrzygnięty. Czekam, co się stanie. - A gdy Marisa zmrużyła groźnie oczy, dodał: - No, siostrzyczko, nareszcie masz

partnera do konkursu. Pokażcie, na co was stać! To najbardziej romantyczny gest na świecie - mężczyzna i kobieta okazują światu, jak bardzo się kochają.

- No, dobrze - usłyszała własny głos i nim pojęła, co naprawdę powiedziała, ujrzała przerażoną twarz Barriego. - Jesteśmy romantyczni, prawda? Poradzimy sobie.

- Mariso! - syknął Barrie.

- Pięćdziesiąt doliczów? - Carlo zerwał się na nogi. - Zapiszę was i powiem, że przez tę swoją kontuzję nie możesz stać w kolejce. - Przepchnął się przez tłum i po chwili Marisa zobaczyła, jak wskazuje ich organizatorowi.

- Nie wezmę udziału w tym konkursie - oznajmił kategorycznie Barrie. - Wystarczy, że wystawiam się na pośmiewisko, nosząc cię na rękach, a wszystko przez tę waszą głupią tradycję. Ale odmawiam robienia z siebie błazna!

- A teraz - oznajmił prowadzący przez megafon - mamy Marisę Cerini i Barriego MacKenzie. Panna Cerini ma problemy z nogą, więc będzie siedzieć. Proszę się przysunąć jak najbliżej.

Barrie posadził ją na brzegu sceny. Gardło miał suche i ściśnięte. Jak ta szalona Włoszka zdołała go przekonać, by wziął udział w tym cyrku? Jasne, cudownie było ją całować w ciemni, gdy byli tylko we dwoje, ale teraz mieli zrobić to na oczach rozbawionego i podekscytowanego tłumu. I to na ocenę! Lecz z drugiej strony...

- Zaczynajcie, jak będziecie gotowi - zachęcił mistrz ceremonii.

Oboje nerwowo zwilżyli wargi.

- Założę się, że dodadzą nam kilka punktów, jeśli znów zemdlejesz - szepnął i stanął przed nią.

- Bardzo śmieszne. - Szturchnęła go, aż się skrzywił. -Przestań gadać, pocałuj mnie i miejmy to wreszcie z głowy.

- Naprawdę jesteś bardzo romantyczna - mruknął.

- I postaraj się, aby to był naprawdę dobry pocałunek.

- Dzięki za wsparcie. Nawiasem mówiąc, masz u mnie dług. Otoczyła go w pasie ramionami, a on wsunął palce we włosy

Marisy i odchylił jej głowę. Poczekaj, maleńka, pomyślał, chcesz dobrego pocałunku, to go dostaniesz...

Przesunął kciukiem po jej policzku i wziął się do dzieła. Zaczął

pocałunek delikatnie, powoli i zmysłowo. Przed nimi całowało się dwadzieścia par i Barrie z trudem przyznawał sam przed sobą, że ten widok bardzo go podniecił. Gdy więc Wśród oklasków niósł Marisę na scenę, choć wciąż wściekły na całą sytuację, marzył tylko o jednym. Oczywiście, nigdy w życiu nie przyzna się do tego tej dziewczynie.

Przygryzła jego wargę, a on zmysłowo zamruczał. Ona też dawała niezły popis. Jej brązowe oczy były rozmarzone. Przesunął językiem po jej zębach. W końcu ich usta zetknęły się.

Do diabła z romantycznością, pomyślał, przytulając Marisę mocniej i bardziej energicznie zabierając się do dzieła. Nigdy wcześniej nie był aż tak bardzo świadom ust kobiety, ich dotyku i smaku. Marisa dotrzymywała mu kroku. Nie był też pewien, czy kiedykolwiek pocałunek tak bardzo go... podekscytował. Jego oddech stawał się coraz szybszy.

To tylko pocałunek, powtarzał sobie raz po raz.

Oślabła w jego ramionach i upadła na scenę, zanim zdążył ją złapać. Tłum ogłuszająco wiwatował.

Skąd się wzięli ci wszyscy ludzie? Marisa zamrugła powiekami.

- O rany, znowu mi się to przytrafiło, tak?

- Chyba masz problemy z oddychaniem - szepnął. Czterej sędziowie unieśli kartki z ocenami: 10, 9, 9 i 10.

Tłum zaczął klaskać, a Carlo podszedł i wepchnął banknot pięćdziesięciodolarowy w dłoń Marisy.

- Cwaniaro, oszukiwałaś z tym omdleniem! Założę się o wszystko, że do wtorku rano, jak się skończy festiwal, zrozumiesz, że to nie jest ten właściwy. - Chwycił Rosę za ramię i zniknął w tłumie.

- Ten zakład akurat wygra - powiedział Barrie, zabierając Marisę ze sceny, żeby ostatnia para mogła spróbować szczęścia.

Jej radosny uśmiech zniknął po wybuchu Carla.

- We wtorek będę w drodze do Barcelony, a ty znajdziesz swojego idealnego mężczyznę.

- Tak - mruknęła. - Tak, oboje wiemy, że ty nim na pewno nie jesteś - dodała bardziej stanowczo.

- Rodzina by cię wyklęła, gdybyś chciała wyjść za mnie.

- Myślę, że jeszcze oprzytomnieję. - Roześmiała się.

- Jasne, że oprzytomniejesz. I ja też.

- Jak na udawany pocałunek, ten był bardzo miły.

To nie było na poważnie, prawda?

- Oczywiście... żenię.

- Lepiej poszukajmy mojego prawdziwego amore. Barrie obserwował ostatnią parę.

- Odbierzmy najpierw naszą nagrodę. Wygląda na to, że wygraliśmy konkurs.

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Carla pewnie pocieszy to, że może wykorzystasz zdjęcie jego i Rosy w swoim artykule - powiedziała Marisa.

- Ale lepiej jutro, podczas zbiorowego ślubu, trzymajmy się od niego z daleka - poprosił Barrie, dopijając wodę.

- Akurat byś się ze mną ożenił!

Spojrzeni na siebie i oboje odwrócili wzrok. Marisa skupiła się na zdjęciach. Sfotografowani mężczyźni nie wyglądali zbyt interesująco, ale była pewna, że to odpowiedniejsi kandydaci na amore niż ten Szkot.

Barrie rozejrzał się po otaczającym ich tłumie.

- A może to tamten facet? - Wskazał na mężczyznę rozmawiającego z zonglującymi klaunami. - Wygląda znajomo.

Sprawdziła zdjęcia.

- Tak, to chyba jeden z tych, których fotografowałeś. Spozstrzegawczy jesteś. - A więc Barrie nie może się doczekać, żeby wepchnąć ją komuś innemu. - Poproś, żeby do mnie przyszedł, dobrze? Chyba nie chcesz mnie nieść do niego, co? - dodała, widząc jego urażone spojrzenie.

- Sprowadzę go.

Patrzyła, jak przeciska się przez tłum w stronę pierwszego kandydata. Wolniej chyba już nie mógł iść. Przecież facet zaraz im ucieknie. Miała nadzieję, że ów kandydat nie widział, jak się całują. To było tylko na pokaz, a każdemu mogło się zdarzyć podczas pocałunku zapomnieć o oddychaniu. Nic wielkiego.

Barrie, ze swoim wzrostem, kasztanowymi włosami i jasną skórą wyróżnia! się w tłumie. I to korzystnie, przyznała Marisa. Na samą myśl, że go całowała, poczuła dziwne łaskotanie. Jak na nieromantycznego mężczyznę, był wyjątkowo namiętny.

Nareszcie dotarł do faceta. Stanowili ze sobą absolutny kontrast. Kandydat pierwszy był dużo niższy, drobny i miał długie, czarne włosy. Kiedy Barrie wskazał na nią, spojrzał, a Marisa z ulgą stwierdziła, że nie wydawał się rozczarowany. Obaj ruszyli w jej stronę. Miała nadzieję, że mężczyzna nie uzna jej za desperatkę, która musi sprowadzać sobie obcych facetów. No, zdesperowana może i była, ale tylko przez wzgląd na tradycję.

- Cześć - odezwał się, podchodząc do jej stolika. Miał dzinsy tak obcisłe, że widziała niemal wszystko.

- Twój przyjaciel mówi, że chciałaś ze mną pogadać.

Barrie wzruszył ramionami. Cóż, nie uzgodnili szczegółów. Uśmiechnęła się.

- Myślałam, że już cię gdzieś spotkałam. Przepraszam, że ciągnęłam cię tu na próżno.

- Nie ma sprawy.

- Jestem Marisa. - Wyciągnęła rękę.

- Maurizio. - Dłonie miał miękkie jak masło.

- Ładne imię. - Sama się skrzywiła na te słowa. - Może chciałbyś usiąść?

Zerknął na Barriego i wzruszył ramionami.

- Jasne, dzięki.

Barrie usiadł przy wolnym stoliku z prawej strony. Maurizio obserwował go, po czym usiadł po lewej ręce Marisy.

- Twój przyjaciel do nas nie dołączy?

- Chyba nie. - Barrie dawał jej wolną rękę, by mogła poznać Maurizia bliżej. - No więc... - zwróciła się do niego i nie wiedziała, co dalej powiedzieć.

- Więc - powtórzył.

Zerknęła na Barriego, który podsłuchiwał ich rozmowę. Zakrył dłonią usta, by nie roześmiać się z jej żalonych prób nawiązania kontaktu. Uniósł brwi, zachęcając do dzieła.

- Miły festiwal, prawda? - Uświadomiła sobie, dlaczego nienawidziła randek, gdzie cały czas prawilo się uprzejme banały, a ona nigdy nie była w tym dobra. Ale przynajmniej nie siedziała z otwartymi ustami.

- Jasne, super.

- Skąd jesteś?

- Z Nowego Jorku.

- O, Barrie też. Znasz go? Zerknął na Barriego i roześmiał się.

- To wielkie miasto. Nie widziałem go w żadnym z moich ulubionych miejsc. - Znowu zerknął. - To twój chłopak?

- On? O, nie. Skądże! - Nie myśl o tym pocałunku! I nie patrz na Barriego, patrz na Maurizia! - Wcale nie jest w moim typie. Ani ja w jego.

To najwyraźniej zainteresowało Maurizia.

- Naprawdę? - Wyprostował się w krześle.

Widocznie uznał ją i Barriego za parę. Teraz, kiedy wie, że jest wolna, może żywiej włączy się w rozmowę.



Spojrzała na Barriego, który huśtał się na krześle.

- On chce się zestarzeć bez kobiet u swojego boku.

- Naprawdę? - Maurizio przyłożył palec do warg. Miał pięknie wymanikiurowane paznokcie. - To jakie jest twoje miejsce w jego życiu?

- Och, nie martw się, nie chodzimy ze sobą. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Pomaga mi w realizacji pewnego projektu.

Maurizio mrugnął, ale nie do niej. Pewnie coś mu wpadło do oka.

- Mmm, lubię ludzi kreatywnych. Uznała, że lepiej będzie zmienić temat.

- No, taka kreatywna to ja znowu nie jestem...

- A on? Szukani kogoś kreatywnego do realizacji własnego... projektu.

Barrie zbladł jak ściana.

- Jest bardzo kreatywny. Jest fotografem, robi różne zdjęcia, nawet akty.

Nieźle jej szło. Rozmowa z obcym nie była taka trudna.

- Chętnie bym obejrzał jego prace. - Maurizio znowu mrugnął.

Marisa pomyślała o zdjęciach, które miała w torebce, ale uznała, że nie będą odpowiednie. Zerknęła na Barriego, który był zajęty sztucami. Kiedy spojrzał w jej stronę, wyglądał na spanikowanego. Dokąd mu się tak spieszy? Odwróciła się z powrotem do Maurizia, który też patrzył gdzieś w dal.

- Możemy się umówić później, to pokażę ci prace Barriego.

- We trójkę? - Maurizio oparł policzek na dłoni.

- Nie, dwie osoby przy sympatycznej kolacji, w czasie której oglądają też zdjęcia Barriego. No, wiesz, jak to jest.

Maurizio jeszcze raz mrugnął, zerknął na Szkota i znów na nią.

- Świetnie. Gdzie się mam z nim spotkać?

- Myślałam o... Co powiedziałeś?

- Najwyraźniej twój przyjaciel jest nieśmiały i woli, żebyś najpierw wybadła sytuację. Nie ma sprawy. Powiedz mu, że jestem zainteresowany i możemy się umówić tutaj o ósmej. - Powoli wstał, stanął na chwilę przed Baniem i poszedł.

- O... mój... Boże! - wykrztusiła Marisa, kiedy wreszcie dotarła do niej prawda. Wcale nie załatwiła randki sobie, tylko Barriemu! Odwróciła się do niego. Usta miał otwarte i zarumienił się tak mocno, że widać było wszystkie piegi. Spojrzeli sobie w oczy... i oboje wybuchnęli śmiechem. Barrie z trudem dotarł do jej stolika i padł na krzesło.

- W porządku? - wykrztusił między napadami śmiechu.

- Ja? To ciebie powinnam zapytać!

Próbowali się opanować, ale wystarczyło, by spojrzeli na siebie i znowu pękali ze śmiechu.

- Powiedziałam mu, że jesteś kreatywny i chcesz się zestarzeć bez kobiet.

- Nic dziwnego, że ciągle do mnie mrugał!

- To dlatego wyglądałeś, jakbyś zobaczył ducha. Zapytał, czy jesteś moim chłopakiem, a ja powiedziałam, że nie jesteśmy w swoim typie. I że robisz akty fotograficzne!

- Wystawiłaś mnie!

- Nie wiedziałam!

- Następnym razem nie obgaduj mnie, dobrze?

Śmiech Marisy ucichł, gdy zauważyła, jak blisko są siebie.

- Łatwiej było z nim rozmawiać, kiedy mówił o tobie. -Spojrzała w niebieskie oczy. - I co teraz?

- Teraz... Barrie mrugnął do niej. - Znajdziemy drugiego kandydata.

Zmusiła się do uśmiechu.

Pod wieczór kostka Marisy pulsowała bólem. Była zmęczona samotnym siedzeniem przy stoliku, gdy Barrie krążył w poszukiwaniu drugiego kandydata. Za każdym razem, gdy mignął w tłumie, jej serce drżało. Robił zdjęcia, kręcąc się wśród tłumu, a gdy grupa tańcząca miłosne tango zbliżała się do niego, zawczasu się usuwał. Marisa niejasno przypomniała sobie, że kiedy na nią wpadł, wirowali wokół nich tancerze.

Patrzyła, jak tańcząca grupa schwyciła w swe szpony jakąś samotną kobietę. Nie знаła kroków, ale inni natychmiast zaczęli ją uczyć. W końcu wymknęła się przy pierwszej okazji, potykając się o nierówny bruk.

Marisę olśniło. To dlatego Barrie ją przewrócił. Twierdziła, że jest niezgrabny, ale więcej mu się to nie przydarzyło. Usiłował powiedzieć jej o tancerzach, ale go nie słuchała. Nie był jej nic winien. Jako osoba uczciwa, powinna natychmiast zwolnić go z danego słowa.

Niestety, aż tak bardzo nie była uczciwa. Naprawdę go potrzebowała. Tylko on mógł jej pomóc. Nie mogła się zwrócić do swoich przyjaciół, bo nie byli Włochami. Nie zrozumieliby tradycji, podobnie jak Barrie. A włoscy przyjaciele? Gdyby jej rodzina dowiedziała się o czymkolwiek... Nie ma mowy. I, niestety, polubiła tego Szkota.

Czy kiedyś już śmiała się tak, będąc z mężczyzną? Jej sytuacja była poważna, a spotkanie z Mauriziem zawstydzające, lecz i tak śmiali się z

Barriem jak wariaci. Ale z niej romantyczka - zakochuje się w niewłaściwym facecie.

Wcale się nie zakochuję, upomniała siebie. Może tylko... trochę się nim interesuję. Zaswędział ją nos, więc potarła go wierzchem dłoni.

Kiedy Barrie spojrział w jej stronę, przywołała go gestem. Poruszał się z wdziękiem i pewnością siebie. W promieniach wieczornego słońca jego włosy zdawały się bardziej czerwone.

- Znalazłaś jakiegoś? - zapytał.

- Kogo? A, kandydata! Wiesz, co sobie myślę?

- Wolę nie wiedzieć - oznajmił.

- To pytanie retoryczne! Myślę, że powinniśmy sobie dać na dzisiaj spokój. Kostka mnie boli i mam wszystkiego dość.

- Jesteś pewna? Któryś z twoich facetów może się pojawić.

- Ale nawet jeśli go znajdziemy, jestem zbyt zmęczona, by prowadzić błyskotliwą konwersację.

- A za taką uważasz swoją konwersację z tym mrugaczem? Zmarszczyła nos i potarła go.

- Właśnie dlatego nie podtrzymałam tradycji. Jestem beznadziejna w takich sytuacjach. Powinnam była zorientować się, że on nie jest dla mnie odpowiedni. Trudno mi było zmusić go do rozmowy. Uważałam, że gdy spotkam właściwego faceta, natychmiast się dogadamy. No wiesz, poczuję vibracje. Może zostanie jeszcze trochę, ale nie dłużej niż godzinę. Albo czterdzieści pięć minut. - Barrie się skrzywił. - Co znowu?

- Po prostu nie możesz się zdecydować. A jeśli spodobają ci się wszyscy trzej? - Wskazał na zdjęcia.

- Nie ma mowy. To będzie ten jeden, jedyny.

- No dobrze, idziemy już?

- Za piętnaście minut. Dziesięć...

- Jaśnie pani, karetka zajechała. - A kiedy otoczył ją ramionami, Marisa poczuła, że ogromny, brzydki opatrunek i boląca kostka jednak nie są aż takie okropne.

- Muszę wrócić i fotografować konkurs śpiewu gondolierów - oznajmił Barrie, kiedy wyjechali z parkingu. - Jesteś pewna, że chcesz go sobie darować?

Był to jeden z najidiotyczniejszych konkursów. Uczestnicy udawali, że wiosłują na tekturowej gondoli, śpiewając tekturowej parze zakochanych.

Gondole stawały się z każdym rokiem coraz bardziej kiczowate.

- Może warto zobaczyć, co wymyślą w tym roku. Może...

- Odwołuję pytanie.

Marisa postanowiła nie odzywać się do Barriego przez resztę drogi. Wytrzymała aż dwie minuty.

- Jaki jest nasz plan na jutro?

- Pewnie będziemy szukać twojego mężczyzny. - Spojrzał na nią z ukosa.

- Lecz następnym razem nie ja go będę zagadywał.

- Masz randkę dzisiaj o ósmej. Nie zapomnij.

- Tak się przypadkiem składa, że tak ogólnie to lubię kobiety, ale dzięki za troskę.

Podobało jej się, jak jego spojrzenie przesunęło się po niej, a szczególnie gdy zabłyśły jego oczy... póki nie przypomniała sobie, że MacKenzie wcale nie jest w jej typie.

- Mam ranną zmianę na naszym stoisku. W tym roku usytuowano nas w beznadziejnym miejscu, bo Giorgiowi nie chciało się wszystkiego dopilnować. To jego posadę chcę dostać.

- Podejrzewam, że gdyby to zależało od ciebie, wasze stoisko znajdowałoby się na samym środku rynku.

Uśmiechnęła się i zignorowała dziwne ciepło, które pojawiło się w okolicy serca.

- Mówiłaś, że masz plany związane z firmą.

- Owszem - stwierdziła wzruszona, że zapytał o to. - Dominacja nad całym światem. Żartuję. Chcę, żeby ciasteczka były rozdawane w samolotach, oraz uważam, że powinniśmy założyć filie na Wschodnim Wybrzeżu. Chcę przekonać do tego papę. To będzie dopiero sztuka.

- Gdybyś szczerze i śmiało go zaatakowała, na pewno byś wygrała. Pamiętaj, do czego udało ci się nakłonić mnie.

Uśmiechnęła się, po czym zagryzła wargi.

- Tak czy inaczej, jesteśmy przy wschodnim rogu hotelu. Może umówimy się tam o jedenastej? Nie wycofasz się teraz, co?

- Zawsze wywiązuję się ze zobowiązań.

Oczywiście, to było tylko poczucie odpowiedzialności. Przecież nie sprawiało mu przyjemności noszenie jej całymi dniami na rękach. Dlaczego więc była rozczarowana? Skierowała myśli na bezpieczniejsze tory.

- Podoba ci się tutaj?

- Nie jest źle.

- Czyli tak?

- Tak. - Zerknął na nią i uśmiechnął się. - Chociaż mógłbym się obejść bez kaplic i ślubów co krok, sklepu, który oferuje wiersze według życzeń klientów, i kwiaciarzy na każdym rogu.

- Taki jest urok tego miasteczka. Prychnął jak kocur.

- Ale samo miasto mi się podoba. Niby-renesansowa architektura, chodniki z cegły. Naprawdę jest tu bardzo ładnie. Nie byłem jeszcze w Południowej Kalifornii. Dużo tu drzew. -Autostradę okalały eukaliptusy. Wskazał na wschód. - Te wzgórza przypominają mi Szkocję. Nie wiem, co je porasta, ale te rośliny wyglądają jak wrzosa, kiedy nie kwitną.

Góry porastały ciemne, zielonobrazowe krzaczki. - To szałwia. Kiedy wyschnie, łatwo się pali.

- Znam to uczucie - mruknął.

- O co ci chodzi?

- Nie możesz twierdzić, że nie reagowałaś na pocałunek, którym wygraliśmy konkurs. Ten, po którym zemdłałaś.

- To dlatego, że nie mogłam złapać tchu. - Wyciągnęła z torebki nagrodę. Wielkie złote usta zaślniły w słońcu. - Zależało mi na udanym występie. A tobie nie?

- Jasne. I był niezły, co?

Pogłaskała nagrodę i pożałowała, że nie przyznała się, iż przestała oddychać, bo pocałunek był taki cudowny. Może Barrie też by to wyznał. Ach, ten jej brak pewności siebie...

Patrzyła na wzgórza i próbowała sobie wyobrazić Szkocję.

- Tęsknisz za domem i rodziną?

Chyba chciał zaprzeczyć, ale w końcu stwierdził:

- Czasami.

- Musisz się z nimi pogodzić. Założę się, że gdybym z nimi porozmawiała, to... No, gdybym kiedykolwiek pojechała z tobą do Szkocji... co jest niemożliwe, bo to by znaczyło, że chodzimy ze sobą, a nie ... i... - Straciła wątek.

- I co?

- Przekonałabym twoich krewnych, że należy cię cenić takim, jakim jesteś.

- Przecież ty nawet własnej rodziny nie potrafisz przekonać, by

zaakceptowali ciebie taką, jaką jesteś naprawdę. - Prychnął.

- Różnica polega na tym, że ja chcę być taka jak oni.

- Jesteś pewna?

- Tak. Oczywiście. No, czasami...

- Ha! Nigdy nie spotkałem kobiety, która by tak często zmieniała zdanie.

Marisa fuknęła gniewnie. Była zła, kiedy mama miała rację. Jej niezdecydowanie rzeczywiście doprowadzało mężczyzn do szału. A przecież nie takie emocje pragnęła w nich wzbudzać...

- Kiedy jestem z nimi, chcę być taka sama, jak oni. A kiedy nie jestem, chcę być sobą.

Wzniósł oczy do nieba.

- A dlaczego nie możesz być zawsze jednakowa?

- Przestań mi mieszać w głowie. Wychodzi na to, że natychmiast potrzebuję psychiatry. A to nieprawda! - dodała, widząc jego uniesioną brew.

- To ty tak mówisz. Wiesz, dlaczego tak trudno ci się decydować? Boisz się, że, podejmując decyzję, kogoś obrazisz.

- To idiotyczne. O, widzisz, właśnie podjęłam decyzję! Nie wyglądał na przekonanego.

- Mam cię zawieźć do rodziców?

- Jest sobota, a w soboty zawsze chodzimy na wieczorną mszę. A ja natychmiast muszę się wypowiedzieć.

- Mam nadzieję, że odmówiłaś dwa razy „Zdrowaś Mario”. - Mama wykładała paczuszki ciasteczek na blat stoiska w niedzielę rano. - Dziesięć, dziewięć i pół, dziewięć i dziesięć. Ustanowiliście nowy rekord!

Marisa przyłapała się na dumnym uśmiechu. Spróbowała przybrać odpowiednio skromny wyraz twarzy.

- Mówiłam wam, że to ten właściwy mężczyzna.

Mama uderzyła się w piersi i próbowała bez skutku ukryć łzy.

- Dlaczego wszystko poszło tak fatalnie? Czy to źle, iż chcę, żeby moja córka poślubiła porządnego Włocha z dobrej, włoskiej rodziny? - Nawet odgrywając z całym zaangażowaniem rolę w tym melodramacie, zachowała dość przytomności umysłu, by klepnąć Marisę po ręce, gdy ta usiłowała niepostrzeżenie otworzyć paczkę ciasteczek. - Przyniosę jeszcze trochę serc z samochodu. Nie zjadaj towaru!

Broszurka o fabryce „Ciasteczka Amore” miała kształt czerwonego

serduszka, na którym wydrukowano miłosny poemat oraz romantyczną historię firmy. Stoisko miało kształt litery U. W jednym rogu stała duża srebrna taca z pokruszonymi ciasteczkami do próbowania. Kiedy Marisa usiłowała ukraść parę okruszków, Nonna trzepnęła ją po ręce.

- Jestem głodna. Nie możecie dla inwalidki na chwilę zrezygnować z zasad?

- Ty jesteś inwalidką? Też słyszałam o konkursie pocałunków. - Nonna złapała okruszek i zapytała: - Włożył ci język?

Marisa poskarżyłaby się, że Nonna sama je ciasteczka, ale nie mogła zamknąć ust. Babcia pokiwała głową i spojrzała w niebo rozmarzonym, tęsknym wzrokiem.

- Twój nonno, Salvatore, był taki romantyczny, taki romantyczny.

- Opowiadasz o nim takie ładne historie. - Marisa uśmiechnęła się do mężczyzny próbującego ciasteczek i w myślach porównała go do panów ze zdjęć. To porównanie wypadło na korzyść obcego mężczyzny.

- Ach - westchnęła Nonna. - Brał moją dłoń i całował każdy paluszek. Zawsze prosił o pozwolenie, zanim mnie pocałował w usta. Taki był z niego dżentelmen. - Uniosła wzrok i westchnęła. - Si, mi amore. Szeptał słodkie głupstwa, piękne włoskie słowa miłości. Delikatnie ujmował moją twarz i całował mnie.

Marisa uśmiechnęła się, a potem zauważyła, że wyobraża sobie, że Barrie robi dokładnie to samo.

- Pocałunek to najromantyczniejsza rzecz na świecie. Nonna kiwała w zadumie głową, wspominając słodkie chwile.

- Robił niesamowite rzeczy tym swoim językiem. Marisa zakrzuszyła się, a kiedy dostrzegła minę mężczyzny,

który próbował ciasteczek, rozkaszała się na dobre. Dlaczego innych krewnych nigdy nie było w pobliżu, gdy Nonna opowiadała takie rzeczy?

Babcia nie zauważyła reakcji wnuczki.

- Miał niesamowicie długi język i kiedy mi go wkładał w...

- Nonno!

- ..ucho, dostawałam dreszczy.

Co się stało z jej dawnymi, słodkimi, niewinnymi historyjkami?

- A to, jak ty i nonno tańczyliście w deszczu? Uśmiech Nonny zajaśniał.

- O, tak, kręciliśmy się i kręcili, deszcz lał, a my śmialiśmy się i całowali. Nie rozumiem, dlaczego policjant chciał nas aresztować. Przecież byliśmy

na własnym podwórku, a jak sąsiedzi mieliby nas dostrzec w taką ulewę?

Marisa zakrztusiła się kawałkiem ciasteczka, który wreszcie zdołała podkraść.

- Aresztować?! A za co?

- Czy ludzie nie mogą sobie potańczyć nago na własnym podwórku! Co się stało z romantycznością?

Przyszła mama z pudełkiem sercowatych broszurek.

- Znowu podkładałyście ciasteczka, co?

Marisa skinęła głową babci, która najniewinniej w świecie uśmiechała się do przechodzącej pary.

- Uroczy dzień, prawda? - zapytała Nonna, jakby zapomniała, że przed chwilą snuła wspomnienia o języku zmarłego męża.

Układając broszurki, Marisa usiłowała wymazać z pamięci obraz dziadków tańczących nago w deszczu. Ze stoiska naprzeciwko doleciał zapach cebuli i kiełbasek. Zerknęła na zegarek - prawie jedenasta. Od razu poprawił jej się nastrój. Będzie mogła iść szukać swojego ukochanego. Szybko rozejrzała się wokół.

- On po ciebie przyjdzie? - zapytała mama.

- Tak. - Miała nadzieję, że to, co słyszała we własnym głosie, nie było rozmarzeniem. - Zjemy obiad i popatrzymy na zbiorowy ślub.

Co roku pary zbierały się na rynku, by chórem wypowiedzieć słowa przysięgi.

- Chyba nie zadasz matce śmiertelnego ciosu i nie weźmiesz ślubu razem z pięćdziesięcioma innymi parami?

- Jasne, że nie! Będziemy mieli tradycyjny ślub, jak Gina, z mnóstwem krewnych i wymyślną suknią, a ty będziesz wypłakiwać oczy, siedząc w pierwszej ławce. - Pamiętała, jak stała za Giną przy ołtarzu, patrząc na tłumnie zebranych gości. Wiedziała, że powinna pragnąć takiego właśnie ślubu i że będzie go miała, by uszczęśliwić rodzinę. Lecz Barrie nie będzie tym zachwycony. Jeżeli przy kolacji spoglądał błędnym wzrokiem, to jak zareaguje, kiedy go otoczy kilkuset rozwrzeszczanych Włochów...

Ale przecież ona nie poślubi Barriego! Sprawy najwyraźniej' zaszyły za daleko. Serce zabiło jej mocno, kiedy go dostrzegła. Fotografował właśnie szykującą się do ślubu pannę młodą. Jego związane w kucyk włosy lśniły czerwono w słońcu. Nawet z daleka dostrzegła wydatne kości policzkowe i wyraziste rysy jego twarzy.



- Zemdlałam, kiedy Salvatore pocałował mnie pierwszy raz - obwieściła Nonna. - Nie mogłam oddychać.

Marisa oderwała wzrok od Barriego.

- Dobrze wiedzieć, że nie ja jedna mdleję podczas pocałunku. - Tylko że Salvatore był właściwym mężczyzną, a Barrie nie.

Zawstydziła ją myśl, że MacKenzie poszukuje potencjalnego ukochanego energiczniej, niż robi to ona. No cóż, chce mieć ją wreszcie z głowy.

Nonna i mama obserwowały, jak się zbliżał. Wysoki, atrakcyjny i bardzo seksowny facet.

- Jest za duży - powiedziała Nonna. - Ale osłoni cię przed wiatrem.

- Ona jeszcze zmadrzeje - poinformowała mama nie wiadomo kogo.

To było gorsze niż wymykanie się na studia dwa razy w tygodniu. Marisa nie chciała nawet myśleć, co się stanie, jeśli nie spotka właściwego mężczyzny. Barrie zniknie jak sen złoty, a ona wyjdzie na kompletną idiotkę.

I nigdy więcej go nie zobaczy.

- Cześć - znajomy głos wyrwał ją z zamyślenia. Barrie uklonił się wszystkim paniom.

Nonna nadstawiła mu policzek, lecz Barrie nie zrozumiał tego gestu i Marisa musiała trzy razy skinąć głową w kierunku Nonny. Poczzerwieniał na twarzy, ale pochylił się i delikatnie pocałował babcie.

Marisa dała znak, że wszystko jest w porządku, i potarła nos, a Nonna spojrzała na nią dziwnie.

- Źle się czujesz? Nie wyglądasz najlepiej. - Barrie czule uściśnął narzeczoną.

- Wypatruje cię przez cały dzień - oznajmiła Nonna.

- Nie, wcale... No dobrze, wypatrywałam cię. - Nawet Marisie pomieszały się obie role. W opinii rodziny miała być zakochana w Baniem, chociaż jej krewni woleliby, żeby kochała Włocha. Ale w istocie nie powinna być w nim zakochana. I, oczywiście, nie była.

Nonna uniosła tacę pełną pokruszonych ciasteczek.

- Chcesz spróbować?

Barrie wziął ciasteczko. Kiedy Marisa też chciała skorzystać z okazji, Nonna zabrała tacę.

- Chciałam tylko kawałek!

- Proszę. - Podał im trzy dolary za dwie paczuszki i wręczył je Marisie. - Jesteś gotowa?

- Tak. Umieram z głodu. - Rzuciła rodzinie spojrzenie spod zmrużonych powiek i zdjęła nogę ze stołka.

Do stoiska podeszła grupa ludzi, którzy zaczęli zadawać Nonnie i mamie mnóstwo pytań dotyczących ciasteczek.

- Ten facet pracujący naprzeciwko też nie jest tym właściwym, tak? - szepnął Barrie.

- Jaki facet?

- Nie mów, że nie zauważyłaś. Masz go przed oczami cały dzień.

Popatrzyła na sprzedawcę kielbasek i otworzyła usta. Kandydat numer dwa serwował właśnie wujkowi Louiemu, który przyszedł odsiedzieć swój dyżur na stoisku, miękką nadziewaną bułę.

- Coś do picia? - zapytał wujka Louiego.

- Do życia? Ee tam, co to za życie. - Ugryzł bułkę, z której kapał keczup.

- Może i niezłe, ale nie to, co kiedyś.

Louie pomaszzerował w stronę stoiska.

- Cześć, wujku Louie - odezwała się Marisa, całując go w policzek. Pachniał cebulą i papryką.

- Co? A, cześć! Chcesz gryzą? - Niemal walnął ją w nos wielką bułą.

- Nie, dziękuję. Właśnie idziemy, żeby coś zjeść. Louie przeniósł wzrok na Barriego.

- Ten Szkot ciągle się koło ciebie kręci?

- Do widzenia, wujku Louie - powiedziała i wyciągnęła kule. Dokuśtykała do mamy i Nonny, żeby pocałować je na pożegnanie.

Manewrowała wokół stoiska, a Barrie szedł za nią krok w krok. Kandydat numer dwa obserwował ją. Uśmiechnęła się, on też. Potem sprawdziła, czy Barrie na tego faceta patrzy. Nie patrzył, a to znaczyło, że kandydat uśmiecha się do niej, a nie do niego.

- Może dokuśtykasz tam i podarujesz mu paczuszkę romantycznych ciasteczek? - zasugerował Barrie z kpiącym błyskiem w oku.

- Niezły pomysł.

Był w pobliżu, gdy szła w stronę stoiska, ale wycofał się, gdy dotarła do lady.

- Cześć, laluniu! Patrzyłem na ciebie cały ranek, a ty nie spojrzałaś na mnie ani razu. - Sprzedawca kielbasek położył rękę na sercu. - To przykre.

Znowu nie umiała poprowadzić dowcipnej rozmowy.

- Przecież przysłałam, prawda? Ja... przyniosłam ci ciasteczka.

- Byłem ciekaw, co wy tam sprzedajecie. - Spojrzał wyczekująco. Marisa zrozumiała, że chodzi mu o paczuszkę, którą wciąż trzyma w ręku. Położyła ją na ladzie.

- O, jak mi słodko. - Włożył jedno z ciasteczek do ust, po czym odkrył różową karteczkę. Do licha. Zapomniała o słownym pocałunku w środku. Właśnie czytał sentencję.

- W każdą pełnię księżycy ktoś znajduje prawdziwą miłość. Nagle usłyszała gdzieś za sobą prychnięcie.

- Jestem Marisa.

- Tony. Z Brooklynu. - Uścisnął jej dłoń. Miał palce usma-rowane tłuszczem. - Na co dzień zajmuję się używanymi samochodami, ale czasem pomagam wujowi. - Machnął ręką w stronę stoiska. - Za godzinę kończę. Co wtedy robisz?

- Jem z tobą obiad. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Znakomicie. - Na pewno był nią zainteresowany. Nie puszczał jej ręki. - Spotkamy się tutaj?

Chodzenie o kulach było męczące, a trudno wymagać, by Barrie przyniósł ją na to spotkanie. A już na pewno nie chciała, żeby nosił ją Tony.

- Spotkajmy się w Roma Café przy hotelu. Zajmę stolik

- oznajmiła, rzucając mu uśmiech, który miał być kokieteryjny.

- Do zobaczenia za godzinę.

- To ten? - zapytał Barrie, gdy doczłapała do niego.

- Nie wiem, ale możliwe, że tak. - Nie pamiętała, czy oprócz tłuszczu poczuła cokolwiek, gdy uścisnęli sobie ręce.

- No wiesz, najpierw muszę trochę z nim porozmawiać. Gina i mama mówiły, że kiedy poznały swoich mężów, to jakby piorun w nie strzelił, ale ja przy Tonym niczego takiego nie odczułam.

Barrie zabrał jej kule i wziął dziewczynę na ręce.

- Dokąd, madamel

Gdy ją podnosił, nie wiedzieć dlaczego jej serce zaczęło walić jak szalone. A „madame” tak ładnie zabrzmiało. Potem do niej dotarło, że nie odpowiedziała.

- Do Roma Café. Za godzinę spotykam się tam z Tonym.

- Obejdziemy rynek, żeby nie defilować przed jego stoiskiem, bo jeszcze

wyciągnie niewłaściwe wnioski na nasz temat.

- Na nasz temat?

- Tak, twój i mój. Ze noszę cię na rękach jak jakiś romantyczny mydłek. - Na moment zerknął na jej usta, a jego głos złagodniał.

- Uznałby, że między nami coś jest.

- Tak... To znaczy nie. Oczywiście. Nic między nami nie ma. - Marisa była w stanie myśleć tylko o pocałunkach. Tym razem na pewno nie straciłaby przytomności! - Gdyby między nami coś było, byłoby to niezwykle romantyczne, że wciąż mnie nosisz na rękach.

- Gdyby między nami coś było, pewnie musiałbym przyznać, że lubię cię nosić. Oczywiście, gdybym był romantykiem.

Spojrzała mu w oczy.

- Lepiej chodźmy na ślub. To znaczy popatrzmy, jak inni biorą ślub.

- I może znajdziemy twojego wybrańca.

- Wybrańca - powtórzyła, po czym dostrzegła, że patrzy na Barriego i powtarza to słowo cichym, rozmarzonym głosem. - Może już go poznałam.

- Odgarnęła kosmyk włosów, który wiatr zwiął na czoło Barrie'ego.

- Tak myślisz?

Zamrugnęła powiekami, zdając sobie sprawę z tego, co robi. Patrzył na nią oszołomiony.

- Nie ciebie! - roześmiała się. - Nie pomyślałeś chyba...

- Ze mówisz o mnie? Oczywiście, że nie. To byłoby głupie.

- Tak, bardzo głupie...

- Idiotyczne.

- Kretyńskie.

- Przestaniemy patrzeć sobie w oczy? - zapytał.

- To chyba dobry pomysł, skoro jesteśmy dla siebie zupełnie nieodpowiedni.

Pochylił się i szybko ją pocałował. Potem, nie patrząc na nią, przerzucił ją przez ramię i ruszył w drogę.

- Jak to dobrze, że oboje jesteśmy o tym przekonani.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Barrie i Marisa nie rozmawiali o pocałunku. Dzień był słoneczny i ciepły, a więc wspaniały do robienia zdjęć. Najcudowniejsza modelka siedziała z podziwiałym ją mistrzem przy stole, ubrana w ciemnoczerwoną sukienkę w kremowe kwiaty. Skończyła właśnie swoją porcję grzybków. Gestykulując opowiadała mu, jak Gina namówiła ją kiedyś do udziału w konkursie śpiewu gondolierów.

- Wtedy właśnie odkryłam, że nie umiem śpiewać. Mama ma taki głos, że jak zaśpiewa jakąś arię, to szkło pęka, a jak ja zawyję, to pękają bębniaki w uszach. Niestety, długo byłam przekonana, że śpiewam wprost cudownie. Krewni zawsze się uśmiechali, kiedy umilałam im wieczór ariami i serenadami, i udawali moich zaprzysięgłych fanów.

- Przynajmniej zachęcali cię do śpiewania i nie chcieli zrobić ci przykrości.

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- W niektórych sprawach mnie wspierają, ale lubią, żeby wszystko było zgodne z tradycją. Czy twoi rodzice nie są z ciebie dumni, nawet jeśli zignorowałeś ich plany i poszedłeś swoją drogą?

Barrie prychnął - i uświadomił sobie, że faktycznie robi to zbyt często.

- Kilka lat po tym, jak się przenieśli do Nowego Jorku, pojechałem do domu na Noc Burnsa. Robbiego Burnsa.

- Niegrzecznego poety - dodała, uśmiechając się, Marisa.

Oboje się roześmieli, a on uświadomił sobie coś istotnego: z nikim nie śmiał się tyle, co z nią.

- Tego samego. Co roku w Szkocji mężczyźni - tylko mężczyźni - zbierają się, by go uczcić. Nakładają kilty, ktoś czyta jego wiersze, ale nie te wniosłe. Potem piją whisky. Cały czas wysyłałem rodzicom swoje artykuły, żeby wiedzieli, że się nie obijam. Po obchodach w Edynburgu pojechałem do naszej wioski. Nie spodziewałem się entuzjastycznego powitania, ale oczekiwałem przynajmniej życzliwego słowa. A oni mówili tylko o chłopaku mojej siostry, i o tym, jak to on na pewno ich nie zawiedzie i zostanie w naszej wiosce. Ojciec wygrzebywał moje artykuły z jakiegoś pudełka w kuchennej szafce.

Nie wiedział, co go podkusiło do zwierzeń. Lecz było warto, bo zobaczył twarz Marisy, wyrażającą szczere współczucie.

- To brzydko z ich strony - stwierdziła.

- Tak już jest. Nie zadowolisz rodziny, jeśli nie spełnisz jej oczekiwań. Zobacz sama. Spotkałaś mnie, ale ja nie pasuję do was, więc nie są szczęśliwi. Nawet jeśli ojciec pozwoli ci zarządzać działem sprzedaży, nie zadowolisz go. Nieważne, jak ciężko będziesz pracować i ile ulepszeń wprowadzisz, i tak nie będzie to zgodne z jego oczekiwaniami.

- W twojej wersji brzmi to bardzo ponuro i beznadziejnie.

- Nie chciałem cię zasmucić. Mówię tylko, że powinnaś stanąć na własnych nogach i znaleźć własną drogę w życiu.

Marisa pokręciła głową.

- Boję się, że przez to pokłóciłabym się z rodziną.

Nie mógł jej za to winić. Nie musi wybierać między nim a rodzinną tradycją. I nagle poczuł idiotyczny ból w sercu na myśl, że już nigdy nie zobaczy tej ślicznej, małej, bystrej, zwariowanej i nieco zagubionej w świecie Włoszki. Sprawiała same kłopoty, komenderowała nim, zmusiła go, by zachowywał się jak żaloszny romantyczny palant. A jemu to się podobało. I wciąż chciał ją całować.

Marisa spojrzała na niego.

- Musisz być bardzo samotny. Zawsze podróżujesz sam.

- Nic podobnego - zaprzeczył gwałtownie. - Dlaczego tak sądzisz?

- Wiem, że to fascynujące. Widzisz tyle różnych miejsc... ale nikt na ciebie nie czeka, kiedy wracasz.

- Mówisz o tłumie ludzi czekających na lotnisku, którzy zawsze mnie tratują, pędząc do swoich bliskich? Po długim locie marzę tylko o tym, by nikt się na mnie nie wieszał. - Zazwyczaj to dyżurne wyjaśnienie wychodziło mu przekonująco. Lecz nie tym razem.

- Zawsze otaczają cię obcy ludzie, z nikim się naprawdę nie wiążesz. Chyba że podczas wyjazdów poznajesz kogoś... no, kobiety... w celach, no wiesz, romantycznych.

- Nie wiąże się z kobietami podczas podróży służbowych: Na początku kilka razy zrobiłem ten błąd, ale to bardzo przeszkadza w pracy. Dlatego przyjąłem zasadę: „Nigdy się nie angażuj”.

- Póki nie spotkałeś mnie. - Jej promienny uśmiech natychmiast zgasł i przemienił się w żaloszną podkówkę. - No... jakoś się zaangażowałeś, prawda? Nie w sensie romantycznym, ale zawsze.

Jej niepewność wydała mu się czarująca, póki nie uświadomił sobie, że

musi coś odpowiedzieć.

- No... w jakiś sposób jesteśmy związani. Przecież się całowaliśmy. Coś musi w tym być, skoro wygraliśmy konkurs. - Teraz on się pogubił, i to przez nią! - Ustalmy po prostu, że jesteśmy w jakiś sposób ze sobą związani.

Podkówka zamieniła się w uśmiech.

- Ale najważniejsze jest - ciągnął, bo nie miał innego wyjścia - znalezienie twojego wybrańca, a nie pogłębianie tego...niby-związku. Twój facet pojawi się za piętnaście minut. Będę siedział z boku, aby nie próbował się za bardzo do ciebie przystawiać.

- Może ten Tony okaże się właściwym mężczyzną - przyznała. - Wtedy będziesz miał mnie z głowy.

- A ty mnie. - Wziął wodę sodową i wstał.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Barrie miał przedziwną ochotę wykrzyknąć, że wcale nie przeszkadza mu to, iż musi się opiekować taką dziewczyną jak Marisa. Że bardzo polubił jej śmiech. Że lubi patrzeć, jak wariacko gestykuluje, a ten jej pieprzyk... Lecz zaraz miał nadejść facet, z którym była umówiona.

Wkrótce on wyjedzie, a ona będzie miała u boku jakiegoś Włocha, który przypadnie do gustu jej rodzinie.

W kawiarni robiło się tłoczno, ale zdołał zdobyć miejsce przy pobliskim stole. Był gotów udusić faceta, jeśli choć raz do niego mrugnie. Lecz Tony okazał się nałogowym kobieciarzem, co widać było po sposobie, w jaki ujmował dłoń Marisy i zaglądał jej w oczy. I jak mówił do niej „laluniu”. Na pewno nazywał tak każdą dziewczynę. MacKenzie miał przemożną nadzieję, że ten tandetny uwodziciel nie okaże się tym właściwym narzeczonym Marisy.

Tony spóźnił się kilka minut, co samo w sobie już go zdyskwalifikowało. Kiedy przeszedł koło Barriego, ciągnął się za nim okropny zapach kiełbasy i cebuli. Co gorsza, nosił białe buty i taki sam pasek do czerwonych spodni. Marisa uśmiechnęła się i wskazała mu krzesło, które Barrie przed chwilą opuścił. Jeśli była rozbawiona albo przestraszona, dobrze to ukrywała.

- Hej, laluniu, miło cię znowu widzieć! - Tony ujął jej dłoń, by złożyć na niej pocałunek.

Barrie zaczął robić miny, a Tony usadowił się tuż obok Marisy.

- Co ci się stało w nogę?

Zerknęła porozumiewawczo na Barriego i znów zrobiło mu się ciepło koło serca.

- Widziałeś, jak tańczą tango miłości i wciągają do tego innych, nawet na siłę? No więc złapali tak jednego biedaka, a kiedy udało mu się wreszcie uciec, stracił równowagę i wpadł na mnie.

Barrie zamrugał powiekami. Wiedziała, jak doszło do wypadku, choć przecież nie patrzyła w jego stronę, kiedy to się wydarzyło.

- Okropne - stwierdził kandydat na amore Marisy, otwierając kartę. Kiedy zjawił się kelner, Tony zamówił pierwszy. Potem rzucił menu na stół, nie zwracając uwagi na wyciągniętą dłoń kelnera.

Marisa i Barrie spojrzeli na siebie. Musiała schować się za kartę i ukryć chichot, zanim mogła coś zamówić. Ten facet nigdy by się nie zdobył na to, by przez cały dzień nosić kobietę na rękach.

A Barrie przyrzekł sobie w duchu, że jeśli Tony wykona choćby jeden zbyt śmiały gest wobec Marisy, to...

- Powinniśmy wyskoczyć kiedyś na kręgle - zagadnął Tony, zerkając za dekolt swojej towarzyszki.

Barrie już wstawał z krzesła, ale wyobraził sobie, jak tłucze łbem Tony'ego o ścianę tylko za to, że ten pętał chciał sobie popatrzeć.

Do cholery, co on wyrabia! Prawda, to piękna i wspaniale zbudowana dziewczyna o fascynującym sposobie bycia, ale takich jest na kopy pod każdą szerokością geograficzną. Pocałowali się kilka razy, poprzytulali i to wszystko. A że ten gówniarz spojrział na nią tak obleśnie? Barrie zacisnął pięści i jak dobra przyzwoitka znów zamienił się w słuch.

- Jasne, czemu nie - zgodziła się, jakby naprawdę interesowały ją kręgle.  
- Tylko muszę wyleczyć kontuzję.

- Rany, wypadło mi to z głowy. Ale mogłabyś popatrzeć, jak ja gram. W Brooklynie mam najwyższą średnią w całej lidze.

- O, naprawdę?

Obdarzył ją promiennym uśmiechem.

- Nie przekonasz się, dopóki nie zobaczysz. Wykonam taki rzut, że ci spadną majteczki.

Z wdziękiem zignorowała tę uwagę.

Barrie przyglądał się im. Już nie robił groźnych min, tylko poważnie martwił się o Marisę. Każdy, byle nie ten chłystek! Ta dziewczyna naprawdę zasługuje na wspaniałego faceta. Spojrział na nią uważnie - i



zupełnie się uspokoił. Panna Cerini po prostu świetnie się bawiła kosztem przygłupiego amanta. Nie, z tej mąki na pewno nie będzie chleba! Dziewczyna całkowicie panowała nad sobą, nie tak, jak przy Mauriziu. To dobrze, pomyślał Barrie, ta mała wreszcie zaczyna wierzyć w siebie.

Kiedy spoglądała w jego stronę, starał się, by jego mina była jak najbardziej obojętna. Lecz ta diablica znowu do niego mrugnęła i Barrie z największym wysiłkiem powstrzymał się od głośnego śmiechu.

I od tej pory nie spuszczała z niego oczu, podczas gdy Tony paplał o swoim handlu używanymi samochodami. Dlaczego ona marnuje czas na tego głupka? Powinna być z kimś takim jak... on? Nie, nie jak on. On nie chciał się ustatkować, nienawidził związków i wyobrażał sobie miłość jako wysysającego męską moc wampira... Do licha, ale przecież ten wampir okazał się całkiem sympatycznym stworzonkiem...

Nie, miłość to straszna i przerażająca siła. Barrie pogrzyżył się we wspomnieniach. Pampeluna, byki szalejące po ulicach miasta i pierzchający przed nimi mężczyźni. Byli śmiertelnie przerażeni, ale i w najwyższym stopniu podnieceni. Oto najlepsza metafora miłości! Strach i pożądanie, iście szatańska mieszanka. Uciekać albo dać się stratować. Zachować wolność

- lub zginąć!

Zapamiętał ten obraz i wrócił myślami do Marisy.

- Jak ci się podoba nasze miasteczko? - pytała właśnie Tony'ego.

- To, że ty tu mieszkasz, dodaje mu mnóstwo uroku. Uśmiechnęła się skromnie, ale nie był to jej prawdziwy uśmiech, jakim obdarzała Barriego. Tak przynajmniej mu się zdawało.

- Wyobraź sobie, że mieszkam w najromantyczniejszym mieście w tym kraju. - Tony ujął jej dłoń i znowu ją ucałował.

- I umawiam się z najładniejszą dziewczyną w mieście. Może zostanę tu przez parę tygodni? Ile tu jest komisów samochodowych?

- Może kilka.

Przesunął ręką po rozczochranych czarnych włosach.

- Ale trudno byłoby mi zostawić rodzinę. Mama zniósłaby to fatalnie.

Tym zasłużył na prawdziwy uśmiech Marisy. Oczywiście, każdy mężczyzna, który kochał mamusię, stawał się dla niej bohaterem, co wykluczało Barriego, który nie odzywał się do rodziców od dwóch lat.

- Przywieź ją ze sobą - zaproponowała.

- Na pewno odpowiadałyby jej nasze łagodne zimy.
- A może już czas, żebym zamieszkał sam? - Tony się wyprostował. - Usamodzielił się? Całe życie mieszkam z nią.
- Mieszkaś z mamą?
- Nie, nie całkiem. - Roześmiał się. - Mam dla siebie całe pięterko, z własną kuchnią i łazienką. W zasadzie to oddzielne mieszkanie.
- Ach, rozumiem. Cóż, może w takim razie rzeczywiście czas się wyprowadzić.

Oczy Tony'ego rozbłysły i znowu chwycił ją za rękę.

- Lubię cię, Mariso. Znam cię dopiero od godziny, ale pasujemy do siebie. Sprawiaś, że zacząłem zastanawiać się nad swoim dotychczasowym życiem.

Rzeczywiście tak działała na mężczyzn. Barrie powinien cieszyć się, że już niedługo wyjedzie z Cortiny, a zamiast tego czuł tępy ból w sercu. Pod wpływem tej Włoszki zaczął myśleć o rodzinie. I o samotności. Dotąd nie przeszkadzało mu, że nie ma nikogo bliskiego, lecz gdy Marisa zaczęła go o to pytać...

- Co roku - właśnie opowiadała - kilka osób, które przyjechały na festiwal, osiedla się tu na stałe. Mamy tu wszystko - góry, plażę, wspaniałą pogodę, cudowne miasteczko...

- I piękne kobiety - wtrącił Tony, pochylając się i nie wypuszczając jej dłoni.

Ku własnemu przerażeniu Barrie usłyszał, jak prycha. Wystarczająco głośno, by Marisa drgnęła gwałtownie. Oboje spojrzeli w jego stronę, a on poczuł, że się rumieni. Zapatrzył się na rynek, gdzie trwały przygotowania do zbiorowego ślubu.

- Dziękuję - powiedziała ze śmiechem w głosie. - To uroczu z twojej strony.

- Cóż, po prostu jestem uroczym facetem.

- Naprawdę... wydajesz się uroczy.

A, chyba poczuła się skrępowana. Barrie ucieszył się, chociaż nie powinien.

- Ale bywam niegrzecznym chłopcem - wyznał Tony. Marisa uniosła brwi.

- Niegrzecznym? Przeklinasz? Zapominasz o płaceniu rachunków za prąd?

- Och, to nic naprawdę złego. - Zerknął na ich złączone dłonie, a potem spojrzał zalotnie na Marisę. - Potrzebuję kobiety, która utrzyma mnie w ryzach.

Szeroko otworzyła usta - i natychmiast je zamknęła.

- W ryzach... Jak to - w ryzach?

- Powinna od czasu do czasu stawiać mnie w kącie, dać małego klapsa...

Znowu otworzyła usta. Barrie nie był pewien, czy powinien już interweniować. Marisa wzięła się jednak w garść i spytała:

- Żartujesz, prawda?

- Wiem, że z początku wydaje się to dziwne, ale większość kobiet szybko się przyzwyczaja. Przecież i tak zazwyczaj zajmujecie się w rodzinie karaniem, prawda? Krzyki, klapsy, dyscyplina.

- Żartujesz, tak?

- Lubię wszystko ustalić na samym początku. Wiesz, żebyś się mogła oswoić z tym pomysłem. Moglibyśmy zacząć od okazjonalnego pokrzyżenia. Sama ustalisz tempo. - Marisa usiłowała niepostrzeżenie wyrwać mu rękę. - Ale byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł mówić do ciebie „mamo”.

- Ty nie żartujesz. - Marisa zdołała się opanować. Barrie spokojnie siedział i obserwował, jak sobie poradzi. Splotła dłonie na kolanach i uśmiechnęła się słodko.

- To chyba fajna zabawa.

Tym razem Barrie otworzył usta w zdumieniu. Właśnie miał wstać i wbić jej do głowy trochę rozsądku, kiedy otworzyła szeroko oczy, jakby właśnie coś sobie przypomniała.

- A niech to! Wiesz co? Nie mogę się z tobą wiązać. Ciągle zapominam.

- O czym?

- Jestem w ciąży.

- W ciąży? - Zerknął na jej brzuch. - Nie wyglądasz na ciężarną.

- To dopiero parę tygodni. Dlatego ciągle zapominam. Banie omaf nie wybuchnął śmiechem, widząc minę Tonyego!

- A ojciec dziecka? Bo jeśli cię rzucił, mógłbym... no wiesz... zastąpić go.

- To naprawdę szlachetnie z twojej strony, ale moja rodzina jest okropnie staroświecka i, jak możesz sobie łatwo wyobrazić, potwornie się wściekła. Wysyłają mnie do klasztoru, żeby tam urodziła. Może będziemy do siebie

pisać. Mogłabym... - zerknęła na Barriego, lecz tylko na chwilę, a jej wargi drżały od powstrzymanego uśmiechu - ...krzyczeć na ciebie listownie.

Tony zgarbił się i wcisnął dłonie między kolana.

- Może. Ale i tak zastanowię się, czy się tu nie przenieść. Może moglibyśmy... no wiesz... zejść się, jak wrócisz.

- Oczywiście - zaświergotała radośnie. - Możesz mi opisać, jak ci się podobają trzęsienia ziemi.

- Macie tu trzęsienia ziemi?

Zerknęła na Barriego, wspominając pocałunek.

- O, tak. Ale nie częściej niż raz na tydzień. Fajnie usłyszeć, jak ktoś nie przyzwyczajony do nich reaguje, kiedy po raz pierwszy pęka ściana w mieszkaniu albo szyba tłucze się z powodu wibracji. Myślałam, że wiedziałeś o trzęsieniach ziemi w Kalifornii.

- Tak, słyszałem o nich. Ale raz na tydzień?

- Staramy się o nich nie mówić, bo to odstrasza turystów.

- No, tak - oznajmił, wstając. - Lepiej już pójde. Kelner przyniósł zamówione dania, lecz Tony nie usiadł.

- Proszę, tu pieniądze za moje zamówienie. Właśnie sobie przypomniałem o pilnej sprawie. Ale skontaktuję się z tobą przed końcem festiwalu. Nie wyjedziesz do tego klasztoru wcześniej, prawda?

Rozpromieniła się, gdy tylko Tony wstał.

- Wiesz, gdzie mnie szukać.

Kiedy tylko Tony się oddalił, zakryła usta ręką i odważyła się spojrzeć na Barriego. Zaczerwieniła się, ale Barrie nie był pewien, czy ze wstydu, czy od tłumionego śmiechu.

- Niegrzeczny chłopiec już sobie poszedł? - zapytał, siadając.

Usłyszał radosny uśmiech.

- Przynajmniej nie czujesz się zdruzgotana. - Ugryzł hamburgera Tony'ego.

- Wszystko słyszałeś, prawda? - wykrztusiła. - Wcale mi nie pomagaleś.

- Może powinnaś dać mi klapsa.

Dostała kolejnego ataku śmiechu, a Barrie jej zawtórował. Od lat tak się nie śmiał.

Kiedy się wreszcie opanowali, stwierdził:

- Byłaś wspaniała.

- Naprawdę?

- Tak. - Była niesamowita, gdy tak ciepło na niego spojrziała, ucieszona niespodziewana pochwałą. - Świetnie sobie poradziłaś z tym palantem - dodał szybko, zanim wyrwały mu się inne komplementy. - Nie straciłaś głowy i sprzedałaś mu tę historię z klasztorem. - Mógł mówić dalej, ale zrezygnował, by samemu nie wyjść na palanta. - Przynajmniej nie jesteś zawiedziona, że z tym kandydatem też nie wypaliło.

- Szczerze mówiąc, omal nie prychnęłam jeszcze przed tobą.

Barrie wziął ją za rękę.

- Lubię cię, Mariso. Znam cię dopiero od godziny, ale pasujemy do siebie. Sprawiałaś, że zacząłem zastanawiać się nad swoim życiem. - Kiedy pocałował jej dłoń, miał nieprzyjemne uczucie, że powiedział to poważnie. Spojrzął jej w oczy i znowu poczuł to łaskotanie w brzuchu. Niedobrze. - Biedny głupiec - stwierdził z politowaniem. Ale już nie wiedział, czy słowa te odnoszą się do Tony'ego...

Ślub był piękny, w każdym razie na tyle, na ile to możliwe, kiedy pięćdziesiąt par jednocześnie składa przysięgę małżeńską. Marisa chciała się rozpłakać, bo romantycy zawsze płaczą na ślubach, ale zbyt ją rozpraszał dotyk rąk Barriego.

Nie musiał brać jej na barana, żeby mogła popatrzeć na ceremonię, ale uparł się. Pokazał jej, jak używać aparatu, i robiła zdjęcia.

Ksiądz wygłosił końcowe błogosławieństwo:

- Oby. wasza miłość lśniła jaśniej niż Słońce, była trwalsza niż Księżyc i tak życiodajna jak urodzajna gleba. Panowie, możecie pocałować swoje żony.

- Żadnego prychnania! - Marisa szturchnęła Barriego zdrową stopą.

- Jakoś się powstrzymam.

Zrobiła kilka zdjęć obejmujących się par i biła brawo nowożeńcom razem z tłumem. Jak przewidywał ceremoniał, mężczyźni porwali swoje żony na ręce i wynieśli je z rynku.

Zdała sobie sprawę, jakie to romantyczne. I Barrie też był romantyczny, gdy nosił ją w ten sam sposób. Gdyby była prawdziwą romantyczką, pewnie by zemdląła, lecz czuła tylko leciutki zawrót głowy i ucisk w piersi.

Musi znaleźć swojego amore i pozwolić Barriemu iść własną drogą. Zdecydowanie za dużo o nim myślała.

Poczuła, że ktoś ciągnie ją za sukienkę. Obróciła się i zobaczyła Carla.

- Gina rodzi!

Kwadrans potem rodzina Cerinich znów kotłowała się w poczekalni. Tym razem Barrie nie siedział na uboczu, a obok Marisy.

- Nie musiałeś tym razem przyjeżdżać - szepnęła.

- Tak, ale przywoity facet w trudnych chwilach zawsze towarzyszy swojej dziewczynie, by ją wspierać.

- To bardzo ładnie z twojej strony

- Przywoity facet trzyma swoją dziewczynę za rękę. - Ujął jej dłoń i dodał: - W ramach wsparcia moralnego.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Carlo obserwował ich z ponurą miną. Papa, cały potargany, miał minę zbolalą, co zapowiadało, że Marisa nie dostanie wymarzonej pracy, ponieważ znalazła nieodpowiedniego amore. Kiedy pytała o posadę, wykręcał się od odpowiedzi. Oczywiście, gdyby potrafiła mu wyznać, jak bardzo jej na tym zależy... Louie gapił się na nich, a Nonna... uśmiechała się.

- Czego się tak głupio uśmiechasz? - zapytał Nonnę Louie.

- Ten amore nawet nie jest Włochem.

- Jak mogę zapomnieć, kiedy mi to powtarzasz co pięć minut. Przestań się na nich gapić.

Wszyscy naraz odwrócili wzrok, jakby te słowa właśnie ich dotyczyły. Louie przechylił głowę.

- Co?

- Słyszałeś przecież. - I dodała pod nosem: - Stary oszust, słyszysz każde słowo.

Usta Louiego zadrgały odrobinę. Czyżby rzeczywiście udawał?

Tina opatrywali w gabinecie. Kiedy usłyszał o Ginie, eksperymentował właśnie ze smażonymi w głębokim tłuszczu bananami. Upuścił banana w gorący tłuszcz i poparzył się. Zanim będzie po wszystkim, nacierpi się nie mniej niż jego żona. Z Giną była tym razem mama.

- Nie zapomnij o dzisiejszej kolacji - powiedziała Nonna.

- Barrie, ty oczywiście też jesteś zaproszony.

Barrie podziękował staruszce uroczym uśmiechem, ale Marisa dostrzegła panikę w jego oczach.

- Dziękuję.

Kolacja! Całkiem o niej zapomniała, usiłując dogonić spóźnione przeznaczenie. Zjawią się kuzyni, wujowie i ciotki, nawet z Włoch. Na podwórku rozstawi się stoły, będzie dużo hałasu i rzucania się ludziom na

szyje. Barrie się wścieknie, lecz jeśli go nie przyprowadzi, wszyscy się zdziwią. Do poczekalni weszły Gina z mamą i oczekujący zerwali się z miejsc.

- Kolejny fałszywy alarm? - zapytała Marisa.

- Tak. - Gina poklepała się po brzuchu. - Malec ciągle nie jest gotów. Przepraszam za to zamieszanie. Wiecie, że nie chcę zawieść rodziny. Dobrze, że tak rzadko mi się to zdarza, prawda?

Marisa ze zdumieniem odkryła, że Barrie nie zauważył aluzji. Nie zamierzała mu jej tłumaczyć. Jego ręka leżała na jej ramieniu. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, jaki to romantyczny gest.

- Mariso? Hej, Mariso! - Mama pomachała jej ręką przed oczami. - Obudź się i słuchaj. O której przyjdiesz, żeby nam pomóc?

- O której będę potrzebna. - W wyścigu o tytuł córki idealnej miała do nadrobienia całe kilometry.

- Chyba zacynam panikować. Jeszcze nigdy nie czułam się tak fatalnie - oznajmiła Marisa, gdy dojeżdżali do domu jej rodziców. - Mam dwa dni na znalezienie dwóch mężczyzn. We wtorek rano znikasz z mojego życia na zawsze... - Odchrząknęła głośno. - A ja będę musiała przyznać się do wszystkiego. - Barrie miał twarz wyjątkowo ponurą. - Na pewno chętnie się ode mnie uwolnisz - dodała i zaśmiała się z przymusem.

- Zacynam się przyzwyczajać. Ja... - zamilkł i zerknął na nią. - Znajdziemy twój facet i zapomnisz o mnie.

- A ty polecisz do Barcelony, a potem jeszcze dokądś tam, i też zapomnisz o mnie. Prawda? - Była żalosna, starając się wyłudzić od niego wyznanie, że jednak coś dla niego znaczy.

- Jak mam o tobie zapomnieć? - Klepnął leżący między nimi aparat. - Mam zdjęcia.

- Ja też o tobie nie zapomnę - szepnęła, nie patrząc w jego stronę. Barrie nie był właściwym dla niej mężczyzną i już. Przyniosłaby wstyd rodzinie i już do śmierci pisano by o niej tylko w rubryce „Złe wieści”.

Ale najgorszą wieścią było to, że już niedługo rozstanie się z tym Szkotem.

Kiedy przeniósł ją przez próg, wewnątrz, jak zwykle, wrzało. Coraz wyraźniej dostrzegała, że gdy wchodziła do rodzinnego domu, wkraczała w zupełnie inny świat. Staroświecki, pełen niegdysiejszych tradycji, który nijak się miał do współczesności.

- Zabierz mnie do kuchni - poprosiła.

Przez wielkie kuchenne okno wpadały ostatnie promienie słońca. Kuchenka i oba piekarniki buchały żarem, ale Marisie nie przeszkadzało to zupełnie, gdyż żar mieszał się z zapachem czosnku i opiekanych warzyw. Tak jak za starych dobrych czasów - żadnych mikrofalówek i mrozonek. Kiedy Marisę odwiedzał ktoś z rodziny, starannie chowała wszystkie gotowe dania ze sklepu. Westchnęła z zadowoleniem. Jednak tradycja ma też swoje zalety.

Tino z zabandażowaną ręką mieszał coś w misie, a kobiety poruszały się w sposób idealnie skoordynowany, co zawsze wprawiało Marisę w podziw. Na szczęście mama była zbyt zajęta, by rzucić córce spojrzenie pełne bolesnego zawodu.

Nonna nadstawiła policzek, a Barrie pochylił się, by Marisa mogła pocałować babcię. Po czym, ku zdumieniu dziewczyny, sam też pocałował staruszkę. Bez przypominania! A Nonna, co jeszcze bardziej zdumiewające, rozpromieniła się.

Mama uściskała Marisę, była jednak markotna.

- I żadnego dokładania odtłuszczonych produktów. Chcesz nadziewać grzyby czy ravioli? Mniejsza z tym, sama zdecyduję. Ty robisz to za wolno.

- Grzyby - oznajmiła Marisa dla zasady.

- Mogę wam w czymś pomóc? - zapytał Barrie. Wszyscy w kuchni zamarli i wbili w niego wzrok, a on absolutnie nie rozumiał, o co chodzi.

Tino odstawił zdrową ręką tacę pełną fioletowego makaronu.

- Nie są przyzwyczajone, że mężczyzna chce pomagać w kuchni. Chociaż, oczywiście, nie ma w tym nic niemęskiego.

- Oczywiście - zgodził się Barrie.

- Bo przecież - ciągnął Tino - ja z tego żyję. A jeśli chcesz pomóc, na pewno się przydasz. Gina nie czuje się najlepiej, prawda, kochanie? - Posłał jej trzy pocałunki.

Biedaczka siedziała w fotelu w salonie, blada i zmęczona. Za nią, w ogrodzie, ze czterdzieści osób cieszyło się późnym latem i winem. Ktoś się śmiał, jakieś dziecko płakało, a któryś ze starszych mężczyzn grających w karty coś krzyknął.

- No to biorę się do roboty - oświadczył Barrie, kierując się do zlewu, by umyć ręce. Nonna ujęła go za ramię.

- Taki duży, taki duży - mruzczała, ciągnąc go do blatu, przy którym



pracowała. - Tino, przynieś swój bakłażanowy makaron. Barrie może nadziewać ravioli.

Tyle się tu działo, a nie było ani jednej otwartej książki kucharskiej. W ogóle nie mieli takiej książki w domu. Nonna była dumna z tego, że zna wszystkie stare przepisy na pamięć, a Marisa spisywała je dla przyszłych pokoleń... i dla siebie, bo podczas gotowania nieraz potrzebowała wskazówek. Oczywiście Gina знаła większość przepisów na pamięć, o czym często informowała.

Marisa wkładała nadzienie z krabów do kapeluszy grzybów, a Nonna i Barrie pracowali przy blacie. Z początku niepewnie dozował odpowiednie ilości farszu, bo oczywiście żadnej miarki w kuchni nie było. Naśladował Tina i był całkiem zadowolony. Wolał pracować w kuchni, niż siedzieć z całą rodziną, gdzie byłby jedynym nie-Włochem, a przy okazji nieźle się bawił.

- W Szkocji na wielkie przyjęcie robimy haggisa - oznajmił, gdy już oswoił się z ravioli.

- A co to jest? - zainteresowała się Nonna.

- Owcze serce, płuca i wątroba zawinięte w żołądek i ugotowane. Podaje się to z kartoflami i rzepą.

- Ohyda! - Marisa zmarszczyła nos.

- Nigdy nie próbowałaś? - zdziwił się Barrie.

- Jakoś nie.

Barrie był nie na miejscu w tej kuchni. Przede wszystkim był znacznie wyższy od innych, a jego ruchy burzyły ogólną synchronizację. A jednak jakoś się wpasował. Kiedy skończył zajmować się ravioli, Tino zatrudnił go przy nadziewaniu cannoli. A kiedy Tino poszedł posiedzieć trochę z Giną, mama była zmuszona poprosić Barriego o pomoc przy wyjmowaniu z pieca wielkiego garnka z nadziewanymi muszlami. Ba, pani Cerini nawet uśmiechnęła się do Szkota! Kiedy jedna z kuzynek weszła po wino, aż zamarła na jego widok. Zapytała po włosku, kto to jest, a mama wskazała na Marisę i wyjaśniła, że to mężczyzna należący do niej. Marisie zrobiło się ciepło na te słowa, chociaż zaraz po nich mama oznajmiła, że jej córka na pewno się myli i wkrótce odzyska rozum. Jednak jak na razie szanse na to nie wyglądały zbyt dobrze - dziewczyna siedziała w kuchni już od godziny, a napełniła farszem dopiero dziesięć grzybowych kapeluszy, bowiem wciąż gapiała się na Barriego.

Nonna znowu go zaanektowała i zapędziła do krojenia pomidorów.

- Nie za cienko - powiedziała, pokazując palcami pożądaną grubość. Banie dobrze przyjął krytykę, za co Nonna wynagrodziła go pełnym aprobaty skinieniem głowy. - Czy to prawda, co mówią o dużych mężczyznach? - spytała, gdy skończył, biorąc go za rękę.

Marisa wstrzymała oddech, a Barrie odpowiedział:

- Zależy, co mówią.

- Ze mają wielkie... - Barrie czekał z napiętym, wyczekującym wyrazem twarzy - ...serca.

Marisa nie zdołała powstrzymać westchnienia ulgi.

- Jeśli mam być całkiem szczery - odpowiedział - to nie wiem. Nie byłem jeszcze zakochany.

- Moim zdaniem tak, sądząc z tego, jak wszędzie nosisz Marisę. - Nonna uścisnęła jego rękę. - To cudownie być zakochanym po raz pierwszy, prawda?

- Nie jest źle - odparł, mrugając do Marisy.

Mało nie spadła ze stołka. Chwyciła się blatu i skupiła na grzybach. Nonna podeszła i uszczypnęła ją w policzek.

- Ona też jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa. - Przyjrzała się Barriemu, potem Marisie. - Może nie jest Włochem, może jest za duży, ale ja twierdzę, że strzała Amora zawsze trafi do celu. Przeznaczenie nie musi liczyć się z tradycją.

Marisa nie mogła dojść do ładu z myślami. Nonna zaaprobowała Barriego! I dlaczego uważa; że jej wnuczka nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa? To jakaś pomyłka, bo jak kobieta może być szczęśliwa z niewłaściwym mężczyzną?

Na szczęście mama nie usłyszała ani słowa z tej przemowy, bowiem walczyła z potokiem łez, opowiadając kuzynce o zawodzie, jaki sprawiła jej Marisa... lecz po raz pierwszy cierpienie mamy nie sprawiło nieudanej córce przykrości.

A potem Marisa pokuśtykała na podwórze, gdzie wpadła prosto na kandydata numer trzy. Właśnie wchodził. Rzucił jej oszałamiający uśmiech i usunął się ze słowami:

- Scusi. Chyba się nie znamy. Nazywam się Vincenzo. A ty jesteś...?

- Marisa Cerini.

- A, siostra Carla. Tyle mi o tobie opowiadał.

Tak się cieszę, że cię poznałem.  
Może nareszcie poznała tego właściwego?

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Coś się zmieniło, lecz Barrie nie mógł dojść, co. Zmiana nie była niekorzystna, ale czuł się dziwnie. Jakby nagle stał się inną osobą, już nie obserwatorem, a uczestnikiem tych wydarzeń.

Obfotografował wszystkich w kuchni. Marisa nadziewała grzyby, chociaż wyraźnie nie mogła się skupić. Pewnie martwiła się o swoich pozostałych kandydatów. Wyglądała pięknie - lśniące czarne włosy miała upięte, ale kilka kosmyków opadało jej na kark. Patrzyła rozmarzonym wzrokiem na zioła na parapecie. Zanim się zorientował, zrobił jej ponad dziesięć zdjęć.

W nim też coś się zmieniło. Zamiast czekać na właściwą pozę fotografowanej osoby, koncentrował się na wyrazie jej twarzy. Na przykład Nonna uśmiechała się, gdy odpowiednio ułożyła czarno-białe ciasteczka na tacy i co chwila mówiła coś do Salvatore. Tino przytulił mocno Ginę i Barrie czuł promieniującą od nich miłość. Mama poważnie traktowała sprawy kuchni - działała szybko, ale znajdowała czas na degustację wszystkich potraw. Każda scena wciągała go, więc przestawał być obiektywny. Czyżby, jak podejrzewał jego szef, stracił profesjonalizm?

Lecz panika, ogarniająca go zawsze na myśl o pamiętnej rozmowie z szefem, teraz gdzieś zniknęła, chociaż wciąż nie potrafił odpowiednio się skupić podczas robienia zdjęć. Pozwolił, by Marisa i jej krewni skoncentrowali jego uwagę na sobie - taki będzie jego koniec jego kariery. Skończy jak Porter.

No, nie jak Porter, bo ten frajer zakochał się. A Barrie... po prostu nie mógł się skupić. I żałował, że ręce leżące na ramionach Marisy należą do jej matki, a nie do niego. Że ręce trzymające Marisę w talii, gdy chwyciła równowagę, należały do Tina. Poszła na podwórze, a Barrie stłumił chęć ruszenia za nią i porwania jej na ręce.

Przecież, do diabła, nie był romantycznym facetem!

Kilka minut później Nonna przywołała go gestem i zagoniła do mieszania jakiejś masy, która wyglądała na cukinię z ryżem. Zastanawiał się nad dziwnym impulsem, by pobic i pomóc Marisie, gdy najwyraźniej nie potrzebowała pomocy. Czy tylko dlatego, że chciał znowu poczuć jej kształtne ciało?

- Używaj rąk - powiedziała Nonna.

- Słucham? Zabrała mu łyżkę.
- Zawsze używaj rąk. Dzięki temu czujesz konsystencję.
- Tak? - Zanurzył dłonie w ryżowej mieszance.
- Perfetto!

Kusiło go, by zapytać, dlaczego, zdaniem starszej pani, Marisa jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek, ale ugryzł się w język. Przecież grała tylko komedię przed swoją rodziną, szukając przy tym faceta, który naprawdę zapali gwiazdy w jej oczach. I nagle ogarnęła go panika. Nie dlatego, że jego kariera wisiała na włosku, bo tracił profesjonalne wyczucie, ale dlatego, że Marisa wciąż szukała faceta, dzięki któremu rozpromieni się cała.

Czy czekała z tym na właściwego partnera? Pewnie tak. Przy mężczyznach była zbyt niepewna i zagubiona, by mogła komuś naprawdę zawierzyć i oddać swoje dziewictwo. On co prawda zawsze wołał kobiety, które umiały postępować z facetami, ale myśl o tym, że to on mógłby z tej dziewczyny uczynić kobietę... Pokręcił głową. Może to tylko pożądanie. Oczywiście, nic innego, tylko to.

- Hej, wszystko rozgnieciesz!! - zawołała Nonna. Odruchowo wyjął ręce z mieszanki. Niedobrze. Ale gorsze było to, jak jego ciało zareagowało na te mrzonki. Poczul się jak występny grzesznik.

- Przepraszam, trochę się zamyśliłem.

- Czasami ja też pogrążam się w marzeniach. Kiedy brakuje ci czegoś przez długi czas, myślisz o tym bez przerwy. Prawda, Salvatore? - zapytała, zerkając w górę.

Barrie poczuł, że się rumieni.

- Salvatore musiał być dobrym mężem.

- Si, był dobrym człowiekiem. Umarł, kiedy się kochaliśmy.

- Pokręciła głową. - Nawet nie zdążył zaznać przyjemności.

Barrie rozejrzał się wokół, czy ktoś jeszcze ich słucha. Wszyscy byli zajęci rozmowami lub pracą.

- Cóż za piękna śmierć. - Nie zdołał wymyślić nic innego, co by się nadawało dla uszu damy.

- Zawsze był dla mnie trochę za szybki. - Podała mu misę.

- Masz, wynieś to na dwór.. Wszystko już prawie gotowe.

Na dworze cieszone się lekkim wietrzykiem i muzyką. Na gałęziach i słupach porozwieszano lampki, a długi stół zastawiono miskami, talerzami i

butelkami wina.

Prawie wszyscy spojrzeli na niego, przez co Barrie zrozumiał, jak bardzo się wyróżnia. Najwyraźniej powszechnie wiadomo, że Marisa mylnie sądzi, iż to właśnie on jest jej przeznaczony. Mało nie upuścił miski, gdy zobaczył swoją rzekomą narzeczoną. Siedziała przy stoliku pod eukaliptusem ze swoim bratem i jeszcze z jakimś mężczyzną. Napotkał jej spojrzenie. Uniosła trzy palce. Rozpoznał kandydata numer trzy.

Marisa zaskoczyła go, przywołując do stolika. Trzeci kandydat, wpatrzony w piękną dziewczynę, w ogóle nie zwrócił uwagi na Barriego. Miał ciemne, faliste włosy i wydatne usta. Nosił białą bawełnianą koszulę, zapiętą tylko do połowy i odsłaniającą gęstwą czarnych włosów na piersi. Prawdziwy włoski samiec, pomyślał MacKenzie ze wściekłością. I na krótką chwilę opanowało go uczucie beznadziejnej rezygnacji.

- Barrie, poznałeś już Carla. - Lekceważąco machnęła ręką. - To Vincenzo. Carlo poznał go wczoraj przy stoisku i zaprosił do nas. Vincenzo, to mój przyjaciel, Barrie.

Przyjaciel... niech będzie, że przyjaciel. Carlo wyglądał na zadowolonego z siebie. Barrie mógł się założyć, że uznał tę włochatą małpę za właściwego faceta dla siostry.

- Usiądź - zachęciła, wskazując krzesło obok siebie.

- Może lepiej przyniosę ci coś do jedzenia?

- Nie jestem głodna.

Świetnie, ta małpa pozbawiła ją apetytu!

- A może kieliszek wina?

- Zgoda, proszę o czerwone.

Wmieszał się w tłum, zrobił trochę zdjęć. Znowu czuł, że stracił dystans i obiektywizm. Nonna zasiadła u szczytu stołu i pomachała mu ręką, a rodzice Marisy spojrzeli z zakłopotaniem na niego, na córkę, i znowu na niego. Zanim się zorientował, posadzono go między Lambertem i Ninalee.

Umiał rozpoznać dywersję. Gdy narastała w nim frustracja, czyli ile razy spojrzął na Marisę rozmawiającą z Vincenzem, przypominał sobie, jaką wyznaczono mu rolę. Był nieodpowiednim wybrankiem Marisy i rodzina postanowiła go nie lubić. A poza tym chciał, aby ta szalona dziewczyna znalazła wreszcie tego właściwego amore i pozwoliła Barriemu wrócić do jego samotnego życia.

Skupił się więc na roli i starał się zbyt często nie patrzeć na Marisę. Gdy

Vincenzo dotknął jej ramienia, odwróciła się ku niemu. Carlo zostawił ich samych.

Po raz pierwszy w życiu Barrie stracił apetyt.

- Spytałem twojego brata, kim była ta piękność, którą widziałem rano na stoisku, a on opowiedział mi o tobie - mówił Vincenzo.

Marisa uśmiechnęła się. Nie przyszła jej do głowy żadna zręczna odpowiedź. Nie była zakłopotana. Ani razu nie zapomniała zamknąć ust. Po prostu nie miała nastroju do rozmowy.

- Twój przyjaciel chyba zapomniał o winie. Poczekaj, sam ci je przyniosę.

Poszedł po wino. Bez wątpienia był piękny. Niezbyt wysoki czy duży... Właśnie takich lubiła... kiedyś. Vincenzo na pewno nie mógłby nosić jej wszędzie na rękach. Miał klasyczne rysy i włoski akcent. Od dziesięciu lat mieszkał w Rzymie, ale zamierzał zmienić otoczenie.

Na razie nie było żadnych oznak, że wolałby Carla od niej albo że lubi być karany klapsami. Usiłowała wzbudzić w sobie jakieś zainteresowanie tym mężczyzną, skoro był tak bardzo odpowiednim kandydatem na jej amore.

Spojrzała na Barriego. Nie podobało jej się, że wolał siedzieć osobno i zostawić ją, by poznała bliżej Vincenza. Na pewno miał już dość całej tej farsy.

Podszedł do niej ojciec. Niedobrze. Nigdy bez bardzo ważnego powodu nie przerywał posiłku. Uśmiechał się. Czy oznajmi, że Barrie nie jest taki zły, chociaż jest Szkotem? Ale to było bez znaczenia, bo on za kilka dni i tak wyjedzie. Dlaczego więc jej dusza tak płacze?

- Cara, wszystko w porządku? - spytał, całując ją w czoło.

- Tak, papo. Jesteś miły dla Barriego? Machnął ręką.

- Nonna chyba go polubiła - powiedział z pobłażliwą wyrozumiałością. - Ale ten Vincenzo... Carlo twierdzi, że jest bardzo miły.

Obserwowała, jak Carlo bierze pieniądze od kuzyna Emilia.

- Przyjmuje zakłady, prawda?

- Zakłada się o wszystko. Może ten facet był na rynku o zachodzie słońca, tylko go nie zauważyłaś?

- Możliwe - odpowiedziała, a jej usta niebezpiecznie zadrżały. - Ale ja nic do niego... nie czuję.

Papa ścisnął jej ramiona.

- Często miłość przychodzi później. Jeśli to twój prawdziwy amore, posada jest twoja. - Pocałował ją jeszcze raz i poszedł.

- Miło widzieć tak kochającą się rodzinę - powiedział Vincenzo, wracając z dwoma kieliszkami wina. - Moja też jest ze sobą bardzo zżyta.

- Nie mieszkasz chyba z mamą?

- Nie, a dlaczego pytasz?

- Nieważne.

- Twoi rodzice pochodzą z Włoch?

- Tak, z małego miasteczka. Z Cortiny.

- Naprawdę? Mój ojciec też stamtąd pochodzi. - Stuknęli się kieliszkami.

- Przypadek czy przeznaczenie?

Spojrzała na Barriego, pogrążonego w rozmowie z Nonną. Naprawdę go lubiła. Potem zauważyła, że Vincenzo wciąż coś mówi.

- Hmm?

- Mówiłem, że zazwyczaj jestem nieśmiały wobec kobiet.

- Niemożliwe.

Uśmiechnął się z wdziękiem nastolatka.

- Myślisz, że skoro noszę markowe ubrania, mam pieniądze, jeżdżę ferrari i dużo podróżuję, to muszę zaraz być playboyem? - Przsunął się bliżej. - To tylko fasada. Urodziłem się w bogatej rodzinie i ludzie spodziewają się po mnie określonego zachowania. Kiedy znajdę się w pobliżu pięknej kobiety, robię się nerwowy. - Obdarzył ją najszczerzym uśmiechem, jaki w życiu widziała. Nie licząc uśmiechu Barriego, oczywiście.

- Ale z tobą czuję się swobodnie. Jak myślisz, dlaczego?

Miała ochotę wykrzyknąć: „Bo ci woda sodowa uderzyła do głowy!”  
Lecz zamiast tego odparła:

- Nie wiem.

- Czy chciałabyś mnie odwiedzić? Mógłbym pokazać ci całe Włochy, Wenecję, Florencję, Neapol. Bez żadnych zobowiązań. Niczego nie oczekuję w zamian.

- Czy w Wenecji nie ma zbyt dużo cuchnących kanałów?

- Usłyszała własne słowa i skrzywiła się.

- Jeśli będę z tobą, nie zwrócę na to uwagi - powiedział.

- Jak miło. - Starła się, by zabrzmiało to tak, jakby z radością łykała jego komplementy.



Coś z nią było nie tak. Siedziała przy stole z bogatym, przystojnym Włochem, który spodobał się jej rodzinie, a nie mogła z siebie wykrzesać nawet iskierki zainteresowania tym facetem.

Przeniosła wzrok na Barriego. To wszystko jego wina. Zmienił jej sposób myślenia, pokazał, czym jest prawdziwy pocałunek. .. i teraz ze wstrętem patrzy na usta faceta, który być może jest jej przeznaczony.

- Może powinniśmy lepiej się poznać - mówił Vincenzo.

- Mieszkam w hotelu Piazza. Moglibyśmy wypić drinka sam na sam.

- Jasne - usłyszała własne słowa i zauważyła, że znowu patrzy na Barriego. Rozbawił Nonne, a ona ścisnęła jego ramię. O czym oni rozmawiają? Biorąc pod uwagę to, co dziarska staruszka ostatnio wygadywała, Marisa mogła spodziewać się wszystkiego najgorszego.

- Może spotkamy się w hotelowym barze o dziesiątej? - zaproponował Vincenzo, wstając. - Na mnie już czas. Obiecałem, że zadzwonię do domu.

- W barze o dziesiątej. - Usiłowała przypomnieć sobie, o co chodzi. - Czekam niecierpliwie - zapewniła, po czym zauważyła, że znów spogląda na Barriego.

- Dwa do jednego, że to jego miałaś spotkać na rynku - oznajmił Carlo, siadając na krześle Vincenza.

- Może.

- Popatrz, jaka szczęśliwa jest teraz rodzina, gdy wreszcie znalazłaś właściwego faceta.

Kiedy papie nie udało się zatrzymać Vincenza, serdecznie pożegnał się z nim, ściskając jego dłoń. Louie uśmiechał się, ale on zawsze się uśmiechał. Nonna była zbyt zaabsorbowana rozmową z Baniem, żeby w ogóle coś zauważyć, a mama... no, mama nie wyglądała na uszczęśliwioną. Zerknęła z zażenowaniem na Barriego, a potem na Marisę.

- Tylko papa wygląda na szczęśliwego. I ty. Carlo zrobił zadowoloną minę.

- Widziałem cię dzisiaj. Przyznaj się, jeśli jesteś tak zakochana w tym Szkocie, to dlaczego rozmawiasz z innymi facetami?

- Dobre pytanie - odparła ponuro.

- No to jak, ten trzeci kandydat jest idealnym amore! - zapytał Barrie, niosąc Marisę do buicka.

- Na to wygląda. A w dodatku, jeśli to na pewno on, to dostanę moją wymarzoną posadę.

- Według mnie jest to cholerny szantaż - mruknął, sadzając ją na siedzeniu.

- Papa jest przekonany, że postępuje słusznie.

- Oni zawsze tak myślą. - Usiadł obok niej, przez co na chwilę zapomniała, że powinna bronić ojca, i zamiast tego zaczęła się zastanawiać, jak miło byłoby kochać się w samochodzie. W starym samochodzie z wygodnymi siedzeniami.

- A ty myślisz, że postępuje słusznie? Takiego faceta właśnie chcesz? Zarozumiałego bubka w garniturze od Armaniego?

- Myślę, że jest szczerzy. To miło, kiedy mężczyzna przyznaje się do swoich uczuć.

Czuła lekki zapach pieczonych warzyw i ciepło jego ciała.

- To najzwyczajniejszy kit. Facet nie gędzi wszystkim o swoich uczuciach, żeby robić wrażenie na kobiecie.

- A jak ty robisz wrażenie na kobiecie? Zamilkł na chwilę, zbity z tropu.

- Jestem z nią szczerzy. To się czuje, kiedy kobieta jest zainteresowana i... Zaraz, zaraz, nie rozmawiamy o mnie, tylko o facecie od Armaniego. Ostrzegam, byś się nie dała nabrać na jego gadkę. Będzie usiłował wlać w ciebie parę drinków i zaciągnąć do swojego pokoju.

- Dlaczego jesteś taki wściekły? Nie o to ci chodziło? Wreszcie pozbyłbyś się mnie.

- Nie chcę się ciebie pozbyć... to znaczy, nie chcę, żebyś trafiła na nieodpowiedniego faceta. Tak się przejęłaś tą głupią tradycją, że stracisz głowę i zmarnujesz sobie życie.

Jego dłoń zaplątała się w fałdach jej spódnicy.

- Zachowałaś siebie dla właściwego faceta, więc nie pozwól, żeby cię wykorzystał zwyczajny playboy. Jeśli koniecznie chcesz postąpić zgodnie z tradycją, chciałbym, żebyś na tym dobrze wyszła. Został nam jeszcze jeden facet, więc bądź ostrożna. Czekalaś tak długo...

Nie mógł uwolnić ręki. W końcu Marisa sama rozplatała fałdy.

- Skąd wiesz, że... czekałam z tym na właściwego mężczyznę?

- Ja... no, uznałem, że skoro jesteś tradycjonalistką i do tego Włoszką... W każdym razie zgadłem?

- No... tak. Nie było to takie trudne. Nie spotkałam nikogo, z kim chciałabym... no wiesz. - Spojrzała mu w oczy. - A dlaczego sądzisz, że ten facet zaciągnie mnie do łóżka?

- Bo jest idealny. Dla ciebie i twojej rodziny

Czuła, jak ścisła jej się serce. Wciąż obejmowała go za szyję, a ich uda nadal się dotykały.

- Dziękuję, że się mną przejmujesz - szepnęła cichutko.

- Od tego są przyjaciele. Po prostu nie chcę, żebyś w imię tradycji sprzedawała duszę jakiemuś draniowi. Już przez to przechodziłem. Nie warto.

- Pocałujesz mnie znowu?

- Słucham? - Widocznie nie tego pytania się spodziewał.

- Pocałuj mnie znowu.

- Dlaczego? - Spojrzał na jej usta.

Jej serce waliło jak oszalałe, a palce wpiły w jego kark.

- Bo jest mi wtedy dobrze.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Przycisnął wargi do jej ust, a jej palce wślizgły się w jego włosy.

O to jej właśnie chodziło - o to cudowne uczucie doskonałej wolności. Tego jej brakowało przy Vincenzie, chociaż przedtem nie zdawała sobie z tego sprawy. Wiedziała, że ten pocałunek nic nie zmieni. Pewnie wyjdzie za mąż za Vincenza albo za kandydata numer cztery, urodzi kilkoro dzieci... i będzie czytywała artykuły Barriego. ...w snach wracała do przeżytych z nim chwil.

Westchnęła, kiedy jego ręka przesunęła się wzdłuż jej dekoltu. O następstwa pomartwi się później, wiedziała bowiem już, co mówiło jej ciało: „Tak! To ten mężczyzna!”. I choć rozum usiłował protestować, to...

Przesunęła dłońmi po ramionach i bicepsach Barriego. On zaś odchylił jej głowę i pocałował szyję, a ona rozpięła jego koszulę i wsunęła pod nią dłonie.

Miał skórę gładką i ciepłą. Była zachwycona potężnymi mięśniami, znamionującymi siłę tego mężczyzny. Barrie rozpiął zamek z tyłu jej sukienki i pogładził plecy. Nie czuła, kiedy odpiął jej stanik, ale po chwili jego dłonie przykryły jej obnażone piersi. Obudziło się w niej szaleńcze, nie znające granic pożądanie. Wprowadzie marzyła o pocałunkach i romantycznych spacerach, lecz nigdy o tak płonącej namiętności między mężczyzną i kobietą.

Odchylił ją, okrywając pocałunkami obojczyk, a potem jej piersi. Wolno wodził ustami po wzniesieniu, coraz bliżej czekającego na niego niecierpliwie koniuszka. Marisa nie mogła uwierzyć, że ona, która powinna

rozkoszować się każdym dotknięciem, sama pragnie pieścić wargami ciało Barriego.

Kiedy rozległ się klakson, drgnęła gwałtownie i poprawiła sukienkę. Barrie też drgnął i wyglądał na bardzo rozczarowanego.

- Walnąłem łokciem w klakson.

- Lepiej już jedźmy. - Zerknęła na drzwi domu. - Lepiej... - Wysiadł z samochodu z rozpiętą koszulą. Chciała zobaczyć więcej tego wspaniałego ciała.

Barrie obszedł samochód i wszedł od strony kierowcy. Wyjechał z podjazdu i ruszył w stronę miasta.

- To chyba dobrze, że uderzyłeś w klakson. - Marisa wierciła się w fotelu, usiłując zapiąć suwak. Kto wie, co mogło się stać? Na przykład ktoś z krewnych mógł przyjść i zobaczyć ich pieczyoty w samochodzie.

Barrie był zarumieniony, ale nie zapiął koszuli.

- I tak nic by się nie stało. - Podobało jej się, że był zdyszany, a już najbardziej to, że przez nią tak się zasapał.

Poczuła nieodparte pragnienie, żeby znowu włożyć mu rękę pod koszulę, ale potem dotarło do niej, co powiedział.

- Dlaczego? - zapytała.

- Bo ty chcesz czekać na właściwego mężczyznę, a ja nim nie jestem. Też lubię cię całować, ale nie możemy dopuścić, by to się powtórzyło.

- Lubisz mnie całować? - No właśnie, znowu podjęła konwersację w niewłaściwym momencie. - Ale więcej już nic?

- Zgłupiałas? Nie jestem dla ciebie odpowiedni.

- Ja dla ciebie też nie.

- To nie ma nic wspólnego ze mną. Tu chodzi o waszą tradycję, o to, żeby rodzina była z ciebie dumna i tak dalej.

Kiedy zapięła już sukienkę, założyła ręce na piersiach i usiłowała zapomnieć, o tym, że on ich dotykał.

- To nie ma znaczenia, bo niedługo będziesz w drodze do Barcelony, i jeszcze dalej, i jeszcze...

- Właśnie - powiedział trochę zbyt stanowczo. - A ty będziesz robić to, co niemal zrobiliśmy, ale z właściwym mężczyzną.

Ale co, jeśli... Chciała wymówić słowa, które wisiały w powietrzu. A jeśli nie chciała tego właściwego mężczyzny, oraz gdyby odważyła się zerwać z romantycznymi tradycjami swojej rodziny? To co wtedy?

Barrie i tak uciekłby stąd, aż by się kurzyło. Odwoływał się do tradycji, żeby mieć wymówkę, by nie składać poważnych obietnic. Jasno wyłożył jej, co sądzi o stałych związkach.

- Mamy piętnaście minut do przyjścia tego twojego przystojniaczka - oznajmił, zapinając w końcu koszulę. - Nie chcesz chyba, żeby zobaczył, jak cię wnoszę do środka.

Miała właśnie zapytać, dlaczego nie, ale w porę przypomniała sobie, że Barrie ma rację. Skup się, Mariso. Ale jak się skupić, kiedy on ją właśnie obejmował i podnosił do góry?

Niestety, Vincenzo już przyszedł. Siedział na samym końcu baru i rozmawiał z kimś, kogo nie mogła dojrzeć.

- Wejźmy bocznym wejściem - zaproponował Barrie. - Doniosę cię do baru, a dalej dojdiesz o kulach.

Okazało się, że Vincenzo rozmawia z atrakcyjną blondynką.

Zerknął na zegar i frontowe wejście, a następnie pochylił się w stronę swojej towarzyszki.

- Tak się cieszę, że mogłaś wypić ze mną drinka - usłyszeli, - ale muszę dzisiaj zadzwonić do domu. Chciałbym cię jeszcze zobaczyć. Zabawne, zazwyczaj robię się nerwowy w towarzystwie pięknych kobiet, ale z tobą czuję się wspaniale. Jak myślisz, dlaczego?

- Co za... - Barrie cały zeszytniał.

Marisa kazała mu schować się za drzwiami, zanim zdążył skończyć.

- ...oszust - dokończył. - Nic ci nie jest?

Nagle Marisa zrozumiała, że, owszem, coś jej jest. Powinna być rozczarowana, a czuła ulgę. Powinna być niepoczieszona, że nie oczarowała Vincenza wystarczająco, by odwołał inną randkę. A przede wszystkim powinna być zdruzgotana na myśl, że znowu zawiodła. Lecz mogła myśleć tylko o tym, że pragnie kochać się z Barriem.

- Po prostu zawieź mnie do domu - poprosiła.

Milczeli w czasie krótkiej jazdy do jej mieszkania. Kiedy wziął ją na rękę, świat znowu pojaśniał, chociaż wszystko tak się skomplikowało.

- Chcesz wpaść na kawę? - zapytała, gdy otworzył drzwi kluczem, który mu podała.

- Jesteś pewna?

Zazwyczaj zostawiał ją na progu, a ona patrzyła, jak wraca do samochodu.

- Tamto w samochodzie to był wypadek, prawda? - Zdołała jakoś dostać się do środka o kulach i zapalić światło. - Nie jest tak, że nie możemy utrzymać rąk z dala od siebie.

Barrie wzruszył ramionami.

- No pewnie, że nie. To znaczy owszem, możemy. - Rozejrzał się wokół, a ona śledziła jego spojrzenie i zastanawiała się, o czym myślał. Mieszkanko było nieduże, a ponieważ znajdowało się w nim mnóstwo drobiazgów, wydawało się jeszcze mniejsze. Od rodziny dostała brokatową kanapę i zastawę obiadową. Drewnianą podłogę pokrywały szmaciane dywaniki w kolorze czerwonego wina, pieczarek i brzoskwiń.

Od lat zbierała obrazki. Wycięte z pism i starych albumów, oraz własne szkice - wszystkie były przyklejone do ścian, a nawet do żaluzji. Było mnóstwo włoskich pejzaży oraz kwiatów i zakochanych par. Zwrócił uwagę na jedną z reprodukcji.

- To mój ulubiony motyw, kiedy dwoje ludzi ma się właśnie pocałować - tłumaczyła, kuśtykając w jego stronę.

Jego wzrok odruchowo spoczął na jej ustach, a potem wrócił do obrazków.

- Szkoda, że usłyszałaś słowa tego drania.

- Nieważne.

- Nieprawda. Jesteś zdenerwowana i masz do tego powody. - Kiedy się skrzywiła, dodał: - Chyba się nie rozplączesz, co?

Odwróciła wzrok i ustawiła kule obok kanapy.

- Nie będę płakać. - Otarła napływające łzy. - To...

- Rodzinne, wiem. - Przynajmniej się nie skrzywił ani nie prychnął.

- Wiesz, chyba lepiej wyjdź stąd - oznajmiła. - Wiem, że nie znosisz płaczących kobiet, a i tak już wystarczająco dużo wycierpiałeś ze mną.

- Dobrze. - Podeszedł do drzwi i zatrzymał się. - Poczujesz się lepiej, jeśli mu dołożę?

- To nie przez niego. - Roześmiała się przez łzy.

- To chyba nie dlatego, że... coś ci zrobiłem, prawda? Znowu się roześmiała na widok jego szczerzej troski.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. Jestem do niczego. Nie umiem się nawet zakochać we właściwym facecie. No, może to jest także twoja wina. Nie to, że się w tobie zakochałam, ale wepchnąłeś mnie do fontanny, zniszczyłeś mi sukienkę, nie dopuściłeś, aby spełniło się moje

przeznaczenie, jesteś dla mnie absolutnie nieodpowiedni, a ja dla ciebie, a jednak...

Wyraz jego twarzy zmieniał się, gdy z każdym słowem coraz lepiej rozumiał, o co jej chodzi. Przynajmniej nie wyglądał na przerażonego. Jego błękitne oczy patrzyły łagodnie i w końcu zamilkła.

- I wiem - dodała po chwili - że nie jestem w twoim typie, że uważasz zobowiązania i miłość za coś na kształt...

- Wampira - wtrącił, gdy nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

- Dzięki. Właśnie, wampira. Pewnie jestem dla ciebie za ciężka...

- Nie jesteś za ciężka.

- I chcę romantyzmu, zobowiązań i dzieci, a ty będziesz starym wilkiem samotnikiem i nigdy się nie ustatkujesz.

Z każdym jej słowem przysuwał się bliżej.

- Wiem, że jesteśmy dla siebie całkiem nieodpowiedni, ale ciągle chcę, żebyś mnie całował, bo wtedy czuję się jak nigdy dotąd... swobodna jak ptak. I wiem, że niedługo odejdziesz i już cię więcej nie zobaczę... ale to nieważne... że ile razy to sobie powtarzam... - jej głos był ochrypły od emocji... - pęka mi serce.

Ujął jej twarz w swoje wielkie dłonie.

- Jeśli cię teraz pocałuję, przestaniesz płakać? Wzięła głęboki oddech.

- A jeśli mnie teraz pocałujesz, to już nie przestaniesz?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Barrie zaniósł ją - a może po prostu uniosła się w powietrzu, do dziś nie jest tego pewna - do najbliższych drzwi.

- Łazienka - mruknęła.

Skinął głową i otworzył następne drzwi. Była to sypialnia, do której nie zawitał jeszcze żaden mężczyzna. Ułożył Marisę na kolorowej narzucie, nie spuszczać z niej wzroku.

- Jesteś pewna? - zapytał, siadając obok niej.

- Na ile może być czegoś pewien ktoś chronicznie niezdecydowany.

Roześmiał się cicho. Przesunął ręką po jej szyi i włosach. Zahipnotyzowały ją jego niebieskie oczy i świadomość, że każde dotknięcie zbliża ją do czegoś, co odmieni jej życie... i złamie serce.

Musnął kciukiem jej wargi, ścierając z nich błyszczak. Oparła dłoń na jego piersi. Serce biło mu szybko. Kiedy podciągnął jej spódnice, by odsłonić zdrową nogę, drżała mu ręka.

- Dlaczego drżysz? - spytała. - Przecież się nie denerwujesz.

- Denerwuję się troszeczkę.

- Ale to nie może być pierwszy raz...

- To jest pierwszy raz, gdy to... ma jakieś znaczenie. Robiłem zdjęcia, nie angażując się, i były one bez duszy. Teraz widzę różnicę. Kiedy fotografowałem ciebie i twoją rodzinę, było inaczej. Moja dusza była zaangażowana. A teraz jest podobnie. Po raz pierwszy kochać będę nie tylko ciałem, ale i duszą.

Potem ją pocałował. Marisa nie знаła różnicy między kochaniem się bez duszy i z duszą, ale wiedziała już coś o pocałunkach. Jego pocałunek różnił się od pocałunków innych mężczyzn, i nie dlatego, że Barrie był w tym lepszy. Było coś jeszcze, coś nieokreślonego.

Rozpięła mu koszulę i zsunęła ją z ramion. Uwielbiała jego gładką i sprężystą skórę, pod którą kryły się potężne mięśnie. Nie przerywając pocałunku, rozpiął jej sukienkę. Nałożyła bieliznę ze skrzyni posagowej i miała tylko nadzieję, że elegancka koronka wynagrodzi nadmiar ciała na brzuchu i udach.

Barrie mocował się z jej sukienką, co przypomniało Marisie, że ma obandażowaną nogę i gdy już będzie zupełnie naga, może to wyglądać dość dziwnie i mało atrakcyjnie.



Ale on nie patrzył na nią z odrazą. Przesuwał dłońmi po gładkiej skórze, przyglądając jej się z zachwytem.

- Niczego w sobie nie zmieniam - powiedział ochryple. Spojrzeli sobie w oczy i Marisa stwierdziła, że to nie był żart czy banał. - Jesteś piękna, Mariso, właśnie taka, jaka jesteś.

Poczuła, że łzy znowu napływają jej do oczu, ale uśmiechnęła się na znak, że to tylko łzy radości.

- Dziękuję.

Wstał i zdjął spodnie. Też chciała mu wyznać, jaki jest piękny, ale straciła głos. Białe szorty niewiele zasłaniały. Zaparło jej dech w piersiach, kiedy je zrzucił.

Oszłomiła ją jego doskonała budowa. Był piękniejszy niż Dawid Michała Anioła czy inne znane jej dzieła sztuki. Potem przypomniały jej się słowa Nonny o drzwiach i trudnościach z wchodzeniem, ale natychmiast usunęła je z pamięci.

Wrócił do łóżka, zanim zdążyła nacieszyć się jego widokiem, ale pewnie mogłaby patrzeć na niego godzinami bez znużenia. Potem pocałował ją - i zapomniała o całym świecie. Rozpiął jej stanik, a potem pokazał mnóstwo sposobów wykorzystania języka.

Jego język zostawił wilgotny ślad na jej brzuchu i dotknął brzegu majteczek.

Myślała, że będzie bardzo zdenerwowana, gdy mężczyzna dotknie jej tam po raz pierwszy, ale myliła się. Straciła na chwilę oddech, a potem wydała z siebie stłumiony jęk. Barrie jedną ręką zdjął majteczki, drugą wciąż ją pieścił. Oddychała z trudem. On z pewnością wiedział, co robi, choć dla niej była to absolutna nowość.

Doznania kumulowały się, niosąc ją wyżej i wyżej, a kiedy jego wargi zacisnęły się na jej piersi, całe ciało ogarnął potężny spazm.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Barrie obserwuje ją z pełnym zadowolenia rozbawieniem.

- Chcę cię dotknąć - oznajmiła, obracając się na bok. Położył się na plecach i pozwolił się dotykać. Kochała każdy centymetr jego ciała, małe, twarde sutki i leciutkie piegi rozsiane na piersi. Leniwie rysowała ósemki na jego brzuchu, zbierając odwagę na...

Przysunęła się bliżej i dotknęła go tam, wywołując cichutki jęk Barriego. Przesunęła kilka razy palcami, coraz śmieiej, co wywołało kolejne

westchnienie.

- Jesteś taki wielki - powiedziała Marisa, naśladując Nonnę. Oboje się roześmieli.

- Może powinnaś wiedzieć... że minęło... trochę czasu... odkąd... - Znowu jęknął i chwycił ją za rękę. - Wystarczy!

Z portfela, który wcześniej rzucił na poduszkę, wyciągnął małą paczuszkę. Patrzyła, jak nakłada prezerwatywę. Pocałował ją i zagarnął pod siebie. Miała ochotę owinać nogi wokół jego bioder, ale opatrunek to utrudniał. Zamiast tego zarzuciła mu ręce na szyję i obserwowała wyraz jego twarzy.

- Nie zapomnij oddychać - mruknął, a ona spostrzegła, że faktycznie wstrzymuje oddech.

Nareszcie pojęła, co to znaczy owa cieniutka granica między rozkoszą a bólem. Lecz gdy Barrie wypełnił ją całą, zapomniała o bólu i zatraciła się w uczuciu kompletnej, absolutnej przynależności do mężczyzny.

Do Barriego.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Uwielbiam... kiedy to mówisz.

- A ja uwielbiam tę twoją minę.

I nagle wpadli we wspólny, cudowny rytm. Obserwował ją, póki nie zyskał pewności, że Marisa nie czuje bólu, a potem zamknął oczy. Ona zaś pograżyła się w zmysłowych doznaniach pulsujących w całym jej ciele.

Potem znowu straciła oddech, a w jej wnętrzu wybuchły fajerwerki. Jego ciało też zadygotało spazmatycznie. Przytulił Marisę mocno. Po kilku długich, rozkosznych minutach odsunął się na pościel i popatrzył na nią.

- Dobrze się czujesz?

- Tak cudownie, że nie potrafię tego wyrazić. Barrie obrócił się i teraz Marisa leżała na górze.

- Ja też.

- No to co teraz robimy?

- W końcu będziemy musieli się puścić i...

- Nie o to chodzi, głuptasie. Czy było w tym coś szczególnego?

Owinał kosmyk jej włosów wokół palca.

- Tyle, że nawet nie umiem ci powiedzieć.

- Wiesz, gdybyśmy byli sobie przeznaczeni, moglibyśmy zostać tu na parę dni i zapomnieć o całym świecie.

- Gdybyśmy byli sobie przeznaczeni... Przerwał im jakiś dźwięk. Pukanie.

- Mariso, jesteś tam?

- Mama!

Z jego pomocą wstała i naciągnęła sukienkę. On zaś włożył bokserki i dzinsy.

- Zostań tutaj! - Przyglądała włosy. - Nie ma cię tu, jasne? Pomógł jej dojść do kul i wrócił do jej pokoju. Zanim dokuśtykała do drzwi, rodzice otworzyli je już swoim kluczem. Rozglądali się po pokoju.

- Jest tu Barrie? - zapytał papa.

- Nie. Dlaczego pytasz? - Rany, nie zabrzmiało to niewinnie.

- Bo jego samochód jest przed domem.

- Powiedział, że chce zrobić parę zdjęć w tej okolicy. Pewnie po prostu go zostawił.

- Musimy z tobą porozmawiać - oznajmił papa, sadowiac się na kanapie.

- Chodzi o Barriego.

Barrie cichutko posprzątał, posłał łóżko, pozbierał delikatną bieliznę i schował ją pod poduszkę. Nie był pewien, czy zdołałby się wydostać przez okno, więc usiadł na łóżku, słuchając rozmowy w salonie.

- On nie ma zamiaru się z tobą żenić, Mariso - stwierdziła mama.

- Kupiliśmy ten magazyn, dla którego pracuje - dorzucił ojciec. - On ciągle jeździ z miejsca na miejsce. Nie jest tym właściwym mężczyzną dla ciebie, cara.

- Przyjechał tylko na festiwal, który się kończy za dwa dni - mówiła mama. - Potem wyjedzie. A co z tobą?

Wyobrażał sobie, jak się nad nią pochylają, wbijając do głowy swoje opinie. I mieli trochę racji. Rzeczywiście nie mogłby zostać tutaj, w jednym miejscu, żyć w otoczeniu rodziny Cerinich, która nieustannie wsadzała nos w życie córki. No i jeszcze ten wampir... nie, on wciąż był całkiem miłym jegomościem.

No dobrze, a więc byki z Pampeluny! Tylko że te zamieniły się w stadko uroczych, pogodnych, kłapouchych szczeniactków.

- Vincenzo też nie jest odpowiedni - oznajmiła Marisa. - Podrywał jakąś inną dziewczynę.

- To dobrze - odparł ojciec. - Znaleźliśmy właściwego.

- Fabiano Ferruccio - obwieściła mama. - Jest kuzynem trzeciego stopnia

w drugim pokoleniu, z okolic Cortiny. Jego rodzina przeniosła się tu w zeszłym roku... Zresztą, znasz Ferrucciów. Przyjechał rozejrzeć się, czy też tu nie zamieszkać.

- Jest bardzo przedsiębiorczy - dodał ojciec. - Był księgowym w fabryce swojego ojca we Włoszech. Może miałbym dla niego posadę.

- Ale ja lubię Barriego - upierała się Marisa. - Ja... naprawdę go lubię.

- Składał ci jakieś obietnice? Mówił, że zamierza się z tobą ożenić, ale czy przedstawił jakieś plany?

- Nie.

- Jesteś nim zauroczona, bo jest inny - przekonywał ojciec.

- Naprawdę myślisz, że się ustatkuje i będzie cię zabierał ze sobą w podróże? - zapytała mama.

Barrie oparł się o drzwi i czekał na odpowiedź.

- Nie - stwierdziła w końcu Marisa.

Miał ochotę wpaść do salonu i oznajmić, że zamierza się z Marisą ożenić i być z nią do końca swojego życia. Ale przecież nie mógł ujawnić swojej tu obecności.

- Fabiano to ten właściwy mężczyzna dla ciebie, Mariso - powiedziała mama. - Miał być na rynku o zachodzie słońca, ale cię nie zobaczył, bo Barrie na ciebie wpadł. Pochodzi z dobrej rodziny, jest przyzwoity, wrażliwy, no i...

- I jest Włochem - dokończył ojciec.

Barrie czekał na protest Marisy, ale ona po kilku chwilach zapytała:

- Nie jest gejem? Wariatem? Kobięciarzem?

- Znamy jego rodzinę. To dobry człowiek. Właściwy mężczyzna dla ciebie. I jutro go poznasz.

- No...

- Niech rodzina będzie wreszcie z ciebie dumna - zawołał papa. - Chcemy dla ciebie jak najlepiej. Pomyśl, jaka będziesz szczęśliwa na swojej nowej posiadzie, z mężczyzną, z którego cała rodzina się cieszy i który nie złamie serca twojej mamie.

Barriemu wcale nie podobało się uczucie, jakiego doznał, gdy Marisa powiedziała: „No dobrze, zobaczę się z nim”.

Nie był odpowiednim dla niej mężczyzną, niedługo wyjeżdżał i nie miał zamiaru się ustatkować. No to dlaczego oparł się smętnie o drzwi?

Przeszedł się po pokoju. Nie chciał słyszeć nic więcej. Dobrze, że

wcześniej nie zauważył zdjęć stojących na toalecie. Zobaczył różne wersje Marisy, od roześmianego dziecka do młodej kobiety, pewnie wybierającej się po raz pierwszy na poszukiwanie właściwego mężczyzny. Zdjęcia nie były profesjonalne, lecz miały tę nieuchwytną duszę, której szukał. Było widać, że osoba, która je zrobiła, kochała Marisę. A w jej rodzinnym domu widział całą kolekcję rodzinnych fotografii, niektóre w kolorze sepii. Wiele przedstawiało pary, najwyraźniej zakochane.

Miała wielkie łóżko z kolumnienkami. U jego stóp stała ozdobna drewniana skrzynia. Ukłękł, by ją obejrzeć.

- To moja skrzynia posagowa - odezwała się Marisa za jego plecami.

Odwrócił się z zaskoczeniem, widząc ją w drzwiach.

- Chyba twoja rodzina nie straciła jeszcze nadziei.

- Podśluchiwałeś?

- Nie miałem nic innego do roboty. Lepiej wyjdę, bo mogą wpaść jacyś inni krewni. - I zanim powie coś, czego będzie żałował, i Marisa też. Ona miała swoje przeznaczenie, a on nie był jego częścią.

Nie mógł przejść obok bez pocałowania jej.

Kiedy otwierał drzwi, zapytała:

- Zobaczymy się jutro? Zabierzesz mnie do kawiarni? Ustalili godzinę, a potem Barrie wyszedł, myśląc z ulgą o swej wolności.

Ale ta ulga dziwnie mu się skojarzyła ze złamanym sercem.

Fabiano był na pewno odpowiedni. Przystojny, elegancki, z klasą. Marisa przetrwała cały obiad bez napadu mdłości, nie odkryła też w swoim amore żadnej dewiacji seksualnej. Był uprzejmy, nie całował jej w rękę i nie okazywał nadmiernego zainteresowania innymi kobietami czy mężczyznami. Ona sama również zachowywała się odpowiednio. Przy tym Fabiano był nią zainteresowany i zachwycony jej rodziną.

A więc wreszcie znalazła swój ideał mężczyzny.

Lecz była głęboko nieszczęśliwa.

I powinna mieć wyrzuty sumienia, bo zamiast zaczekać, oddała swoje ciało niewłaściwemu mężczyźnie. Niestety, nie z tego powodu cierpiała jej dusza.

Barrie uwiecznił na rynku wręczenie nagród zwycięzcom w konkursie na najlepszy sos do spaghetti. Co jakiś czas zerkał w jej stronę, zazwyczaj wychytując jej spojrzenie. Kiedy spojrzała na niego, robił jej zdjęcie.

- I kiedy kuzynka Rosa wróciła do domu - mówił Fabiano - sos był na

wszystkich ścianach i blatach!

Marisa roześmiała się na myśl o minie kuzynki, gdy zastała taki bałagan. Fabiano był zabawny, więc śmiała się szczerze. No tak, ale...

- Naprawdę miło było cię poznać - oznajmiła, patrząc na zegarek - ale muszę iść pomóc obsługiwać nasze stoisko.

- Udane życie wypełnia dobre jedzenie i miłość. - Na widok jej zdumionej miny wyjaśnił: - To było wypisane na pasku w ciasteczkach, które kupiłem wczoraj. Musicie się świetnie bawić, wymyślając te powiedzonka. Nawet ja sam wymyśliłem parę sentencji, chociaż na pewno nie tak dobre, jak wasze. A może pomogę ci w pracy na stoisku?

Czy ten facet nie jest doskonały?

- Pewnie, to byłoby... świetnie.

- Proszę, oprzyj się o mnie. - Wziął jej kule i pomógł wstać. Dobrze, że nie zaproponował, iż weźmie ją na ręce. Pewnie

jęknąłby z wysiłku, bo nie był atletycznie zbudowany. Spojrzała na Barriego, dając do zrozumienia, że skierują się w stronę stoiska. Barrie zobaczył, że Fabiano jej pomaga, i skinął głową. Zanim się zorientowała, zniknął jej z oczu.

Ogarnął ją smutek. Musi go zobaczyć jeszcze raz, zanim wyjedzie... na zawsze. Chciała błagać, by został i kochał ją, ale nie było na to szans. Lecz i tak była pewna, że umrze, jeśli on wyjedzie, nie pocałowawszy jej po raz ostatni.

Barrie zatrzymał się przy stoisku. Ten Włoch nadal tam był, a nawet pracował. Mama Cerini i Nonna śmiały się razem z nim, a Marisa siedziała w kącie, obracając w rękach paczkę ciasteczek.

Rozpromieniła się na jego widok. Zanim zdążyła coś powiedzieć, Nonna nadstawiła mu policzek. Ten prosty gest rozczulił go. Przypomniawszy sobie, że kiedyś uznawał go za irytujący. Cmoknął starszą w oba policzki.

Mama Cerini miała trochę speszoną minę i nawet uśmiechnęła się do niego.

- Przyjdiesz na ostatnią rodzinną kolację dziś wieczorem? - spytała Nonna.

- No... - zerknął na Fabiana. - Nie, nie mogę. Muszę jeszcze zaliczyć parę imprez, a rano wyjeżdżam do Barcelony.

- Proszę, przyjdź - odezwała się Marisa, wyciągając rękę w jego stronę, ale cofnęła ją.

Nawet leciutkie muśnięcie jej palców wywołało dreszcze wzdłuż całego ramienia.

- Cóż... - Jej niezdecydowanie najwyraźniej było zaraźliwe. - Lepiej nie. - Tyle chciałby powiedzieć, lecz dla ich wspólnego dobra powinien ugryźć się w język.

- A jutro na śniadanie? - zapytała Marisa, a on zastanawiał się, czy rzeczywiście słyszy w jej głosie nutkę desperacji.

Festiwal kończył się wspólnym śniadaniem na rynku.

- Już mnie nie będzie. - Nie potrafił się jednak opanować i dotknął dłoni dziewczyny, a ona natychmiast chwyciła jego rękę i nie zamierzała jej puścić. Barrie odsunął się. Żyjąc w świecie skrzyń posagowych i tradycji rodzinnych, nie powinna trzymać za rękę Szkota, kiedy tuż obok stał prawdziwy Włoch.

- Bądź szczęśliwa - powiedział cicho. - Miej dużo dzieci, żeby rodzina była z ciebie dumna, i pokaż im, jak potrafisz kierować firmą.

Obdarzyła go nikłym uśmiechem.

- Bądź szczęśliwy. Zrób mnóstwo pięknych zdjęć mających duszę, zobacz cały świat i czasami pomyśl o mnie.

- Żegnaj - powiedział w końcu i skinął głową pozostałym. Przeciskając się przez tłum, tłumaczył sobie, że nie powinien się oglądać. Jeśli Marisa za nim nie patrzy, będzie zdruzgotany. A jeśli patrzy, będzie chciał wrócić i chwycić ją w objęcia.

Lecz jednak się obejrzał. Patrzyła za nim. Wyraz jej twarzy sprawił, że chciał zawrócić, ale zmusił się do ruszenia naprzód. Fabiano był świetnym facetem, idealnym amore, a Marisa ulegnie jego urokom i spełni oczekiwania rodziny. Dostanie wymarzoną posadę. Będzie szczęśliwa.

On też będzie szczęśliwy, dodał szybko. Będzie robił, co zechce, jeździł po świecie, nie będą mu przeszkadzały zobowiązania i odpowiedzialność. I miłość. Nie miał do kogo dzwonić po przyjeździe. Nikt go nie przywita, kiedy wróci.

Poczuł, że ktoś ciągnie go za koszulę, i porzucił nadzieję, że to Marisa. Stała za nim zaniepokojona Nonna.

- Poddasz się, tak po prostu?

- Pani przecież powinna rozumieć, dlaczego.

- Być może, ale umiem również rozpoznać prawdziwą miłość. I to nie twoja wina, że nie jesteś Włochem.

- To, że Marisa była ze mną szczęśliwa, nie oznacza jeszcze, że to prawdziwa miłość.

- Ale jej swędzący nos to oznacza. To część tradycji, chociaż Marisa o tym nie wie. Kiedy spotykamy wybranka naszego serca, swędzi nas nos.

Spojrzał na Marisę, która patrzyła na nich i... tarła nos. Rzeczywiście, pomyślał, często jej się to ostatnio zdarza.

- Gdy jest z tym Fabianem, pewnie też ją nos swędzi.

- Prawdziwa miłość jest tylko jedna.

- Doceniam to, co pani chce zrobić. Ale wasza rodzina... To znaczy reszta waszej rodziny mnie nie przyjmie, a Marisa nie zaryzykuje utraty akceptacji swoich najbliższych. Ja... muszę już iść. - Pochylił się i pocałował staruszkę na pożegnanie. Przeciskając się przez tłum, usiłował zapomnieć o swędzących nosach.

Zrobił kilka zdjęć z konkursu jedzenia klopsików, sprawdził plan na wieczór: idiotyczny konkurs oświadczyń o ósmej. Zerknął na zegarek. Zdąży wywołać kilka zdjęć.

Jadąc wzdłuż wybrzeża, przypomniał sobie, jak Marisa opowiadała mu o tej okolicy. Zobaczył w oddali złociste wzgórza i wspomniawszy jej słowa, że to na ich cześć nazwano Kalifornię złotym stanem, a nie z powodu gorączki złota, jak myśleli niektórzy.

A głównie wspominał ten pocałunek, w ciemni. Latami pracował sam, a nigdy przedtem nie czuł tej... wszechogarniającej pustki w sobie.

Później rozłożył fotografie i znalazł to, czego mu wciąż brakowało: duszę. Odkrył ją w zdjęciach Marisy i jej rodziny, i w tęsknym wyrazie twarzy dziewczyny, kiedy siedziała z Fabianem, a patrzyła na niego.

Czy to rzeczywiście była tęsknota?

Może przypisywał jej własne uczucia. Mylił się co do tego, że podczas robienia zdjęć należy zachowywać dystans i chłodny obiektywizm. Nie był pewien, czy kiedykolwiek jeszcze zdoła zbliżyć się tak do jakiejś kobiety.

Sprawiła, że ujrzał inny świat i poznał uczucia, których dotąd unikał. Zatęsknił za miłością, rodziną, poczuciem przynależności. Przez tę niezwykłą Włoszkę zwariował na tyle, że zapragnął, pojechać do Szkocji i pogodzić się ze swoją rodziną.

Kiedy pobierał zdjęcia i wszedł do buicka, uderzyła go przerażająca świadomość: Marisa była jego idealną kobietą. Przy niej mógł się śmiać - i tylko z nią chciał się witać, gdy będzie wysiadał z samolotu.



Kiedy wrócił do pokoju, natychmiast zadzwonił do Portera. O dziwo, był w domu.

- Już wróciłeś?

- Tak, wróciłem.

- A twoja pani jest z tobą?

- Nie, w końcu stwierdziła, że nie może poślubić faceta niższego od niej. Masz rację, Barrie. Miłość to bagno! Popełniłem ogromny błąd, mieszając przyjemności z interesami i, uwierz mi, wyciągnąłem właściwe wnioski. Nigdy więcej!

- Miło mi to słyszeć. Czy możesz wyświadczyć mi przysługę i zająć się Barceloną?

- Co? Mówiłeś, że chcesz tam jechać. O ile pamiętam, bardzo ci na tym zależało. O co chodzi?

- Mam tu pewne... no... sprawy.

- Sprawy? Hmm... Takie męsko-damskie sprawy? Barrie wzniósł oczy do nieba. No cóż, nie musi kłamać równie dobrze może być szczerzy.

- Poznałem kobietę i nie mogę wyjechać, póki jej nie przekonam, że jestem dla niej najodpowiedniejszym mężczyzną.

- Podrzucić ci pistolet, żebyś mógł załatwić tę sprawę? - spytał Porter, przypominając Barriemu jego własne słowa sprzed kilku dni.

- Tak, ale tylko jeśli moja pani wybierze właściwego mężczyznę.

- Co?

- Mniejsza z tym, pakuj się i jedź do Hiszpanii. - Przekazał mu wszystkie dane i odłożył słuchawkę. To była łatwiejsza część zadania. Prawdziwe wyzwanie stało dopiero przed nim: musiał przekonać do siebie rodzinę Marisy.

Rodzinne spotkanie zwołano po to, by spożyć to, co pozostało z poprzedniego dnia. Kiedy Marisa zaproponowała, aby po prostu nie szykować aż tyle jedzenia, usłyszała długi wykład o tym, jak to przemądrzałe panienki próbują zmieniać stare, od wieków istniejące obyczaje. Jedzenia zawsze musi być w bród!

Siedziała z rodziną przy długim stole i milczała. Zastłyszane fragmenty konwersacji dowodziły, że zdaniem krewnych Fabiano to dużo lepszy wybór niż ten facet, którego sprowadziła wczoraj, lecz w gruncie rzeczy niewiele ją to obchodziło.

- To miły młody człowiek - powiedział papa, wskazując na Fabiana,

który grał w karty z kilkoma innymi mężczyznami.

- Idealny. - Marisa wzruszyła ramionami.

- Źle się czujesz? - zapytała mama, kładąc jej rękę na czole. - Chłodne.

- Tęskni za Szkotem - oznajmiła Nonna.

Mama wzniosła oczy do nieba.

- Ale dlaczego? Przecież on nie jest tym właściwym amore.

- Popatrz, jaka dzisiaj twoja córka jest smętna. A wczoraj, przy tym Szkocie, tak cudnie błyszczały jej oczy, prawda? - stwierdziła Nonna.

- Widziałem, jak na niego patrzysz - oskarżył siostrę Carlo. - Jak cielę na malowane wrota.

- A na tego nie patrzy jak cielę. - Nonna wskazała na Fabiana. - Si, może i jest bardzo odpowiedni pod pewnymi względami - ścisnęła podbródek Marisy - lecz nie ma w tobie, dziecko, namiętności. I w nim też nie.

- Nie mów o namiętności w twoim wieku! - szepnęła mama.

- Salvatore, słyszysz to? - Nonna spojrzała do góry. - Kobiecie w moim wieku nie wolno czuć namiętności. Posłuchaj, moja córko, mam w sobie cały ocean namiętności i dzięki temu umiem ją rozpoznać u innych. Kiedy Marisa była z tym swoim Szkotem, widać było namiętność. Z Fabianem nie ma żadnej. I przy Szkocie tarła nos, a to mówi samo za siebie. - Założyła ręce na piersi.

- Co? - Wprawdzie Marisa nie zrozumiała ostatniego argumentu, ale i tak uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu godzin.

- Barrie był miły - przyznała mama.

- I taki duży, taki duży - dodała Nonna z pełnym podziwu uśmiechem.

- Chyba był w porządku - mruknął Carlo. - Ale nie jest Włochem.

- I wszędzie cię nosił - powiedział papa. - Nie miał nic przeciw temu.

- I pomagał w kuchni - przypomniała sobie mama. - Chyba mu się nawet to podobało.

- A w tym nie ma nic niemęskiego - dodała Marisa, cytując Tina, który musiał zostać w piekarni.

- Ale to nie może być Szkot - zaprotestował papa. - To musi być ten facet.

Marisa spojrzała na Fabiana.

- Nie wiem. Może to i on. - Przypomniała sobie, jak Barrie twierdził, że dlatego jest tak niezdecydowana, bo panicznie boi się rozczarować swoich krewnych. Trzy dni temu Fabiano byłby właściwym mężczyzną. Przyjęłaby

go i nigdy nie zaznała tego, co z Baniem. A Szkot zachęcał ją, by była sobą i do upadłego walczyła o to, czego naprawdę pragnie. A pragnęła jego.

- Fabiano nie jest moim wybrankiem - oznajmiła Marisa. - To prawda, na samym początku sądziłam, że Barrie jako mój amore w ogóle nie wchodzi w rachubę. Niechący przewrócił mnie w kałużę i nawet nie próbował tego zwalić na tancerzy, którzy go popchnęli. Wszędzie mnie nosił, chociaż przecież miał pracę do wykonania. Nawet udawał, że jest moim wielbicielem. Tak, udawał, bo go o to poprosiłam. Nie chciałam, abyście byli zawiedzeni, że znowu nie spotkałam swojego amore, więc udawał go i pomagał mi w szukaniu tego właściwego. I w trakcie...

Spojrzała krewnym w oczy.

- Banie stał się moim ukochanym. Nie, nie zamierza ze mną się żenić i zabierać w podróże, pewnie nawet nie planuje spotykać ze mną. Przyszedł jednak czas, abyście poznali prawdę: jestem w nim zakochana. Nic mnie nie obchodzi, że jest Szkotem. Właściwie za to też go kocham. I za to, jak całuje... - Położyła rękę na piersi. - Carlo, musisz przyznać, że uczciwie pobiliśmy was w konkursie.

Carlo pochylił głowę.

- Tak, aż iskry szły.

- I nie zamierzam być wierna tradycji. Bardzo mi przykro, ale tak uważam. Nie mogę się na siłę zakochać w Fabianie, skoro już jestem zakochana w nieodpowiednim facecie, nawet jeśli nie będziemy razem. - Musiała się na coś skupić, by się nie rozpląkać. - I, papo, naprawdę chcę być szefem sprzedaży. Mam dyplom z zarządzania przedsiębiorstwem i chcę wprowadzić firmę na nowe rynki. I musisz mnie wysłuchać. Nie splawiaj mnie tylko dlatego, że jestem twoją córką. Nie jestem tylko twoją córką. Jestem kobietą, która ma własne pomysły i marzenia, i bardzo mi przykro, że was zawiodłam, lecz taka już jestem.

Zamilkli w zdumieniu, a ona poczuła, jak wielki ciężar spada z jej ramion. Gdyby tylko Barrie tu był, byłoby idealnie.

Gdy wszyscy właśnie otwierali usta, by wtrącić swoje trzy grosze, przybiegł Tino.

- Gdzie Gina?

- Mieli z Louiem jako ostatni dyżur na stoisku. - Papa zerknął na zegarek.

- Powinni już być.

Okrągła twarz Tina zbladła jak papier.

- Louie jest w domu, ale Giny z nim nie ma!

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Na rynku ruch był większy niż kiedykolwiek. Tłum zebrał się koło fontanny, gdzie trwał konkurs oświadczyń. Kolejne pary stawały na scenie i deklamowały romantyczne teksty. Barrie zastanawiał się, co by się stało, gdyby Carlo zmusił ich do wzięcia udziału również i w tym konkursie. Czy wówczas oświadczyłyby się Marisie?

- Jesteś słońcem na moim niebie, musztardą na moim hot dogu. Proszę, zostań moją żoną.

Barrie pogardliwie prychnął, ale zdjęcie zrobił. On powiedziałby Marisie coś zwyczajnego, na przykład: „Wyjdź za mnie...” gdyby oczywiście się jej oświadczał. W tej chwili rodzina świętowała sukces córki, a Marisa bliżej poznawała swojego idealnego mężczyznę i myślała o wymarzonej posiadce.

Nagle ujrzał siebie, jak wpada na przyjęcie i porywa Marisę, by uciec z nią za siódmą górę i siódmą rzekę. Och, to by dopiero było romantyczne!

Jeszcze nie wiedział, co powinien zrobić, bowiem w takich sprawach nie miał żadnego doświadczenia. Wiedział tylko, że nie wyjedzie stąd, dopóki ostatecznie nie rozmówi się z Marisą. Spróbuje ją przekonać, że jest przeznaczonym dla niej mężczyzną, być może wszystko się jakoś ułoży. Cortima była niezłym miejscem do życia, a co do rodziny Cerinich - jeśli go zaakceptuje, to i on pewnie ich wszystkich polubi.

- Barrie!

Marisa?! Nie, to Gina. Ledwie przytomna z bólu siedziała skulona na ławce. Jej długie włosy były mokre.

- Jak dobrze, że wreszcie zjawił się ktoś znajomy - jęknęła, chwytając go za ramię. - Zamykaliśmy z Louiem stoisko, a potem on zniknął, a ja dostałam tak silnych bólów...

- Najlepiej jedźmy do szpitala. Wziął ją na rękę i ruszył do samochodu.

- Tak po prostu? - spytała zdumiona. - Żadnej paniki, biegania w kółko? Robienia sobie krzywdy?

- Po prostu robię to, co należy.

Nie było to, to samo, co nieść Marisę, ale przynajmniej opanował już technikę transportu pań. Wsadził Ginę do samochodu.

- Ogromnie ci dziękuję. - Obejmowała rękami wielki brzuch. - Nie miałam pojęcia, co robić. Nie widziałam nikogo znajomego, nie mogłam też dostać się do telefonu.

- Już dobrze! Trzymaj się.

Odchyliła głowę i krzyknęła z bólu, a on mógł tylko poklepać ją po ramieniu. Sapnęła kilka razy.

- Nawet nie chciałam jeszcze mieć dziecka - oznajmiła.

- Pragnęłam... zostać aktorką.

- To dlaczego nią nie zostałam?

- Wiesz, co by powiedział ojciec? On pragnął wydać mnie za męża, a ja nie chciałam go zawieść. Nie zrozum mnie źle, kocham Tina i dziecko. Ale... nie jestem jeszcze na to gotowa. Marisa jest mądra. Chce zrobić karierę, poszła na studia.

- Wiesz, że je skończyła?

- Tak, ale ona nie wie, że ja wiem. Udaje, że szuka swojego amore, i usiłuje zdobyć to, czego chce. - Popatrzyła na niego.

- A chce ciebie.

Od tych kilku słów zrobiło mu się ciepło.

- Mnie? Jesteś pewna?

- Nigdy nie widziałam, żeby na jakiegoś faceta patrzyła tak, jak na ciebie. Powiem jej... - Skrzywiła się z bólu. - Jeśli to przeżyję, powiem, żeby nie poświęcała własnych marzeń po to tylko, by uszczęśliwić rodzinę.

- Ale ona już poznała tego właściwego mężczyznę. Jakiegoś dalekiego kuzyna.

Gina znów się wierciła.

- Kiedy ją zobaczysz następnym razem, pewnie w szpitalu, popatrz i przekonaj się sam. Ona za tobą szaleje.

Wniósł ją do szpitala. Zanim zabrali biedaczkę na porodówkę, zdążyła podać mu numer telefonu do rodziców. Kiedy Ninalee podniosła słuchawkę, powiedział, że Gina rodzi. Usłyszał krzyki i bieganinę, gdyż nikt nie odłożył słuchawki.

- Jesteś pewna, że dzwonił Barrie? - spytała Marisa, kiedy pomagali jej dojść do poczekalni na porodówce.

- Po raz setny ci mówię, że tak - odparła mama. - Ilu znamy mężczyzn mówiących ze szkockim akcentem?

Marisa nie przestawała się uśmiechać. Była szczęśliwa, że Gina rodzi, tym razem naprawdę. Ale nie przeczyła, że to szczęście wiązało się też z nadzieją na zobaczenie Barriego.

Tym razem nie jest dziewczyną cierpiącą na rozdwojenie osobowości...

choć to i tak pewnie nie wpłynie na jego plany.

Zatrzymali się przed salą Giny. Barrie stał przy jej łóżku, trzymał rodzającą za rękę i cicho coś mówił.

- Świetnie sobie radzisz. Oddychaj. Spokojnie i równo. Teraz Marisa była pewna, że go kocha. Miłość wypełniała ją całą, niemal odrywając od ziemi.

Gina oddychała przepisowo, ściskając z całej siły rękę Barriego. Słyszając jej pełen bólu jęk, cała rodzina wpadła w zwykły sobie chaos. Tino popędził naprzód, wysypując zawartość walizki. Mama rzuciła się, by objąć córkę, a Norma zaczęła zbierać rozrzucone ubrania.

Barrie spojrział Marisie w oczy. Uśmiechnęli się do siebie. Czy mogła go kochać jeszcze bardziej niż w tej chwili? Potem ujął drżące ramiona mamy i powiedział:

- Wszyscy muszą zachować spokój ze względu na Ginę. Świetnie sobie radziła, a wy ją znów zdenerwowaliście.

Mama otarła łzy i wzięła głęboki oddech. Tino przestał paplać, a pozostali biegać w kółko. Gina też się uspokoiła i nawet zdołała się uśmiechnąć. Spojrzała na Marisę, a potem na Barriego.

- No widzisz?

Barrie wyprostował się, przez co wydał się jeszcze większy. Kasztanowe włosy miał trochę potargane. Marisa chciała przesunąć po nich palcami i odgarnąć mu je z twarzy.

Słychać było tylko pisk monitorów i równy oddech Giny. Marisa przykuśtykała do Barriego.

- Dziękuję ci za zajęcie się Giną.

- Dla twojej rodziny wszystko. - Ujął ją pod brodę.

Jego dotyk napełnił ją ciepłem, jakiego nigdy przedtem nie czuła.

- Wiem, że to niemożliwe, ale tak zupełnie teoretycznie mówiąc, gdybyś chciał się przeprowadzić do innego miasta, to czy pomyślałbyś o Cortinie?

- A czy ty, również ściśle trzymając się teorii, gdybyś miała złamać rodzinną tradycję, to czy wyszłabyś za zupełnie nieodpowiedniego mężczyznę?

Marisa skinęła głową, usiłując zachować poważną minę, co było niezwykle trudne, ponieważ jej serce śpiewało. Przywołała rodzinę, która otoczyła ich kołem.

- Fabiano jest niewłaściwym facetem i absolutnie nie wyjdę za niego.

Prawda, papo? Prawda, mamó? - Rodzice pokręcili głowami, a potem nimi pokiwali. - Widzicie, wcale nie łamię tradycji, tylko ją trochę zmieniam. Pozbywamy się tego dogmatu dotyczącego Włocha.

- To Włoch? - zapytał Louie. - On mi nie wygląda na Włocha.

- Nie jest Włochem - potwierdziła głośno. - I nie tylko za to go kocham. - Nie odrywała wzroku od Barriego. - Powiedziałam im o wszystkim, o naszej komedii, o tym, że to nie była twoja wina, kiedy na mnie upadłeś, o moich horrorach w okładkach z romansów, i o tym, jaka jestem nieromantyczna.

Barrie prychnął.

- Jesteś najromantyczniejszą osobą, jaką znam, a nawet trochę mnie zaraziłaś tym swoim romantyzmem. Zobaczmy, czy się nie pogubię. - Spojrzał w górę, jakby szukając natchnienia, a potem wziął ją w ramiona. - Jesteś słońcem na moim niebie i musztardą na moim hot dogu.

Rodzina Marisy z aprobatą pokiwała głowami.

- Niezłe, niezłe.

- A może po prostu: „Wyjdź za mnie za mąż”, a słodkie słówka wymyślimy później? Ale zaczekaj - powstrzymał ją w momencie, kiedy miała zamiar powiedzieć tysiąc razy „tak”.

- Uszanujmy tradycję. - Odsunął ją od siebie, upewnił się, że Marisa mocno stoi na nogach, po czym podszedł do jej ojca.

- Mam zaszczyt prosić o rękę pana córki.

Cała rodzina, łącznie z Giną, zgodnie pokiwała głowami. Marisa przyciągnęła go z powrotem do siebie.

- Nie potrzebuję ich aprobaty. Jestem samodzielną kobietą.

- Pochyliła się w stronę rodziny i szepnęła: - Ale i tak dziękuję.

- Jesteś pewna? Nie chcę, żebyś się rozmyśliła i złamała mi serce.

- Nigdy w życiu niczego nie byłam taka pewna. - I udowodniła to, całując go z całą namiętnością kobiety, która dokładnie wie, czego chce.

Nikt nawet nie zauważył, że Ginie odeszły wody.



RS